

**TRUMAN CAPOTE**

# **ŚNIADANIE U TIFFANY'EGO**

Przekład Rafał Śmietana

Zawsze wracam pamięcią do miejsc, gdzie kiedyś mieszkałem, do domów i ich otoczenia. I tak na przykład przy jednej z ulic Siedemdziesiątych we wschodniej części Manhattanu jest elegancka kamienica czynszowa, w której mieszkałem na początku wojny. Miałem tam moje pierwsze nowojorskie mieszkanie. Składało się ono z jednego pokoju zapchanego starymi meblami ze strychu. Sofa i masywne krzesła obite były tym szczególnym rodzajem szorstkiego, czerwonego aksamitu, który nasuwa skojarzenia z upalnym dniem w pociągu. Ściany pokryto sztukateriami w kolorze przypominającym odcień wypłutego tytoniu. Wszędzie, nawet w łazience, wisiały zbrazowiałe ze starości sztychy rzymskich ruin. Jedyne okno wychodziło na schody pożarowe. Mimo to serce mi rosło ilekroć dotykałem schowanego w kieszeni klucza do mieszkania; choć takie ponure, było przecież moje własne, było pierwsze, miałem tam swoje książki i słoje pełne niezastruganych ołówków - wszystko, czego we własnym pojęciu potrzebowałem, by spełnić swoje marzenie i zostać pisarzem.

Nie przyszło mi wtedy do głowy, żeby napisać o Holly Golightly i pewnie nigdy nie wpadłbym na ten pomysł, gdyby nie rozmowa z Joe Bellem, która na nowo ożywiła wspomnienie o niej.

Holly Golightly mieszkała w tej samej kamienicy; zajmowała mieszkanie dokładnie pod moim. Natomiast Joe Bell prowadził bar na rogu Lexington Avenue; zresztą nadal go prowadzi. Holly i ja chadzaliśmy tam sześć, siedem razy dziennie, nie na drinka, nie zawsze na drinka, ale żeby zadzwonić. W czasie wojny trudno było o własny telefon. Ponadto Joe dobrze radził sobie z przyjmowaniem wiadomości, co w przypadku Holly nie stanowiło tylko drobnej przysługi, jako że otrzymywała ich mnóstwo.

Było to oczywiście dawno temu i aż do zeszłego tygodnia nie widziałem Joe Bella przez całe lata. Czasem dzwonił się do siebie i kilka razy, kiedy akurat znajdowałem się w pobliżu, wstąpiłem do jego baru, ale tak naprawdę nigdy nie byliśmy bliskimi przyjaciółmi, nie licząc faktu, że obaj przyjaźniliśmy się z Holly Golightly. Joe sam przyznaje, że nie ma łatwego charakteru. Mawia, że to z powodu jego starokawalerstwa i nadkwasoty. Każdy, kto go zna, powie, że ciężko się z nim rozmawia. Właściwie jest to niemożliwe, jeśli nie podzielasz jego fiksacji. Holly jest jedną z nich. Inne to hokej, wyżły weimarskie, „Niedzielną dziewczyną” (serial radiowy, którego słucha od piętnastu lat) oraz Gilbert & Sullivan<sup>1</sup> - Joe twierdzi, że jest krewnym któregoś z nich, ale nigdy nie pamiętam którego.

---

<sup>1</sup> William S. Gilbert (1836 - 1911) - dramaturg ang., autor m. in. komediowych librett operowych, Arthur Sullivan (1842 - 1900) - kompozytor ang., autor muzyki do librett W.S. Gilberta.

Tak więc gdy w zeszły wtorek wieczorem zadzwonił telefon i usłyszałem w słuchawce: „Tu Joe Bell”, wiedziałem, choć nie powiedział tego wprost, że musi chodzić o Holly. Zaskrzeczał tylko: „Czy mógłby pan wpaść? To ważne”, a w jego żabim głosie brzmiało podniecenie.

Złapałem taksówkę w październikowej ulewie. Po drodze przyszło mi na myśl, że ona może tam być, że znowu zobaczę Holly.

Ale na miejscu nie było nikogo oprócz właściciela. W porównaniu z innymi barami na Lexington Avenue, ten jest dość spokojny. Nie pyszni się neonem ani telewizorem. Dwa stare lustra odbijają pogodę za oknem, a za barem, we wnęce otoczonej zdjęciami gwiazd hokeja, stoi zawsze duży wazon pełny świeżych kwiatów, które Joe sam pieczołowicie układa. To właśnie robił, kiedy wszedłem.

- Rzecz jasna - powiedział wciskając mieczyka głęboko do wazonu. - Rzecz jasna, nie ściągałbym tu pana, gdybym nie chciał usłyszeć pańskiego zdania. Stało się coś dziwnego. Bardzo dziwnego.

- Miał pan wieści od Holly?

Pogładził palcem liść, jakby nie wiedząc, co ma odpowiedzieć. Niski człowieczek z siwą, rozczochraną czupryną na kształtnej głowie. Miał kościstą twarz o ostrych rysach, twarz, która lepiej pasowałaby do kogoś dużo wyższego. Zawsze wyglądał na poparzonego przez słońce. Teraz poczerwieniał jeszcze bardziej.

- Właściwie nie od niej, to znaczy, sam nie wiem. Dlatego potrzebna mi pańska opinia. Skomponuję panu drinka, coś nowego. Nazywa się Biały Anioł - powiedział mieszając wódkę z ginem, bez wermutu. Kiedy popijałem otrzymane dzieło, Joe Bell stał, ssąc tabletkę na żołądek i przeżuując w myślach to, co chciał mi powiedzieć. Wreszcie zapytał:

- Pamięta pan I. Y. Yunioshiego? Tego z Japonii.

- Z Kalifornii - odrzekłem, bo pamiętałem go doskonale. Jest fotografem w jednym z ilustrowanych magazynów i kiedy go poznałem, wynajmował kawalerkę na ostatnim piętrze mojej kamienicy.

- Niech mi pan nie miesza w głowie. Chodzi o to, czy wie pan, o kim mówię. Dobra. No więc któż tu wczoraj wparadował? Ano pan I.Y. Yunioshi we własnej osobie. Nie widziałem go chyba ze dwa lata. A wie pan, gdzie on był przez te dwa lata?

- W Afryce.

Joe Bell przerwał ssanie tabletki i zmrużył oczy.

- Skąd pan wie?

- Przeczytałem u Winchella<sup>2</sup>. Co zresztą było prawdą.

Z brzękiem otworzył szufladę kasy i wyciągnął z niej żółtą kopertę.

- A o tym Winchell też pisał?

W kopercie znajdowały się trzy zdjęcia, mniej więcej takie same, choć zrobione z różnych ujęć. Wysoki szczupły Murzyn, odziany w perkalową przepaskę, z nieśmiałym, a zarazem dumnym uśmiechem, pokazywał dziwaczną drewnianą rzeźbę, wydłużoną dziewczęcą główkę o włosach krótkich i gładkich, jak włosy młodzieńca. Z jej wąskiej twarzy wystawały za duże łagodne drewniane oczy, usta szerokie, przerysowane, trochę jak usta klauna. Na pierwszy rzut oka wyglądało to na dość prymitywną robotę, lecz po chwili nagle uderzało ludzące podobieństwo do Holly Golightly. Przynajmniej o tyle, o ile ciemny, nieruchomy przedmiot może być do niej podobny...

- I co pan na to? - zapytał Joe Bell, usatysfakcjonowany moim zdumieniem.

- Podobne do niej.

- Słuchaj, chłopcze - powiedział uderzając dłonią o ladę - to ona. Jestem tego pewien jak własnego imienia. Ten mały Japoniec poznał ją od razu.

- Widział ją? W Afryce?

- No nie, widział tylko ten posązek. Ale wychodzi na to samo. Niech pan sam przeczyta - rzekł, odwracając jedno ze zdjęć. Widniał na nim napis: Rzeźba w drewnie, Plemię S, Tococul, Anglia Wschodnia, Boże Narodzenie, 1956.

- Japoniec powiedział... - i tu powtórzył historię, która przedstawiała się następująco: W Boże Narodzenie pan Yunioshi wraz ze swoim aparatem, mijał właśnie Tococul, nieciekawą wioskę na odludziu, zwykłą zbieraninę lepiarek, z małpami na podwórkach i myszołowami na dachach. Już miał ruszać w dalszą drogę, gdy nagle ujrzał Murzyna, który, siedząc na progu chaty, wycinał w drewnianej lasce kształty małp. Wywarły na nim duże wrażenie, więc poprosił rzeźbiarza, by pokazał mu więcej swoich prac. Wtedy Murzyn przyniósł rzeźbę dziewczęcej główki. Zdaniem Joego, pan Yunioshi miał wrażenie, że śni. Kiedy zaproponował Murzynowi, że kupi rzeźbę, ten zakrył dłonią okolice genitaliów (w wyrazistym geście porównywalnym z naszym kładzeniem ręki na sercu) i odmówił. Nie skusił go funt soli i dziesięć dolarów, ani zegarek, dwa funty soli i dwadzieścia dolarów. Pan Yunioshi chciał przynajmniej dowiedzieć się, jak powstała rzeźba. Zdobyć tej informacji kosztowało go i sól, i zegarek, a historię opowiedziano mu w lokalnym narzeczu, łamanej

---

<sup>2</sup> Walter Winchell (1897 - 1972) - amerykański dziennikarz, zajmujący się głównie plotkami z życia sławnych ludzi, prowadził rubryki towarzyskie w nowojorskich czasopismach.

angielszczyźnie i na migi. Wyglądało na to, że minionej wiosny pojawiła się w wiosce trzysobowa grupa białych na koniach. Młoda kobieta i dwóch mężczyzn. Mężczyźni z przekrwionymi od wysokiej gorączki oczyma, trzęsąc się z febry, zostali zmuszeni do pozostania na kilka tygodni w odosobnionej chacie, podczas gdy młoda kobieta, której spodobał się rzeźbiarz, dzieliła z nim matę.

- W to nie wierzę - oświadczył Joe Bell z pewnym niesmakiem. - Wiem, na co ją stać, ale nie sądzę, żeby zdobyła się na coś takiego.

- A co potem?

- Nic. - Wzruszył ramionami. - Po prostu odjechała tak, jak i przyjechała, na koniu.

- Sama czy z tymi mężczyznami? Joe Bell mrugnął.

- Chyba z nimi. Japoniec wszędzie potem o nią pytał. Ale nikt więcej jej nie widział. - Potem, jakby wyczuwając moje rozczarowanie i stanowczo się od niego odzegnując, dodał: - Musi pan przyznać jedno, to pierwsza konkretna wiadomość o niej od... - próbował policzyć na palcach, ale mu ich nie starczyło - ...Bóg wie jak dawna. Mam tylko nadzieję, mam nadzieję, że jest bogata. Na pewno jest bogata. Trzeba sporo pieniędzy, żeby tak bez celu włączyć się po Afryce.

- Najprawdopodobniej jej noga nawet nie powstała w Afryce - powiedziałem, święcie w to wierząc. A jednak mogłem ją tam sobie wyobrazić - to było miejsce, które do niej pasowało. No i ta rzeźba. Jeszcze raz rzuciłem okiem na zdjęcie.

- Skoroś pan taki mądry, to gdzie ona teraz jest?

- Nie żyje. Albo siedzi w domu wariatów. Albo wyszła za mąż. Myślę, że wyszła za mąż, trochę się ustatkowała i mieszka sobie w Nowym Yorku.

Joe zastanowił się przez chwilę.

- Niemożliwe - rzekł potrząsając głową - i nawet powiem panu dlaczego. Gdyby tu mieszkała, dawno bym ją spotkał. Jeśli człowiek, który lubi spacerować, ktoś taki, jak ja, łązi po tym mieście przez dziesięć czy dwanaście lat, cały czas wypatrując jednej jedynej osoby i nigdzie jej nie widzi, to jakim cudem ona może tu być? Ciągłe widzę coś, co przypomina mi Holly, w każdym małym tyłeczku, każdej chudziutkiej dziewczynie, która idzie ulicą pewnym i szybkim krokiem... - przerwał, zdając sobie nagle sprawę, jak uważnie mu się przyglądam. - Myśli pan, że jestem stuknięty?

- Nie, po prostu nie wiedziałem, że pan ją kochał. I to tak bardzo.

Natychmiast pożałowałem tych słów, speszzył go. Zgarnął zdjęcia i włożył je z powrotem do koperty. Zerknąłem na zegarek. Nigdzie mi się nie śpieszyło, ale

pomyślałem, że lepiej będzie, jeżeli już pójdę.

- Niech pan poczeka - powiedział chwytając mnie za rękę - pewnie, że ją kochałem. Ale nie tak, żeby chcieć jej dotknąć. - I dodał bez uśmiechu - Nie żebym przestał myśleć o tych rzeczach.

Nawet w moim wieku, a dziesiątego stycznia skończę sześćdziesiąt siedem lat...To dziwne, ale im jestem starszy, tym więcej o tym myślę. Nie przypominam sobie, żebym tyle o tym myślał, nawet kiedy byłem młody. Ciągle myślę. Może im człowiek starszy, im trudniej mu coś naprawdę zdziałać, tym bardziej takie myśli kłębią się w głowie i ciąży. Zawsze, kiedy czytam w gazecie o jakimś starszym człowieku, który się skompromitował, wiem, że to z powodu tego ciężaru. Aleja, tu nalał sobie pełną szklankę whisky i przełknął ją gładko, nigdy się nie skompromituje. I przysięgam, nigdy tak nie myślałem o Holly. Można kogoś kochać i tego nie zrobić. Ten ktoś zostaje wtedy obcym, a jednocześnie jest przyjacielem.

Do baru weszło dwóch mężczyzn. Nadarzyła się więc okazja, żeby wyjść. Joe Bell odprowadził mnie do drzwi. Tam znów złapał mnie za rękę.

- Wierzy mi pan?

- Że nie chciał pan jej tknąć?

- Chodzi mi o Afrykę.

W tym momencie nie potrafiłem przypomnieć sobie całej historii, stanął mi tylko przed oczyma obraz Holly odjeżdżającej na koniu.

- Tak czy inaczej, wyjechała.

- Ano - rzekł, otwierając drzwi. - Po prostu wyjechała. Na zewnątrz ustał już deszcz i tylko mgiełka unosiła się w powietrzu, skręciłem więc na rogu i poszedłem wzdłuż ulicy, przy której stoi kamienica. Rosną tam drzewa, których liście tworzą latem różne wzory na chodniku. Teraz liście pożółkły i opadły, a po deszczu zrobiły się śliskie i same ujeżdżały spod stóp. Kamienica stoi w połowie ulicy, tuż koło kościoła, na którego wieży błękitny zegar wybija godziny. Od czasu, gdy tam mieszkałem, dom odnowiono. Stylowe czarne drzwi zastąpiły te stare z matową szybą, a eleganckie szare okiennice wyeksponowały kontury okien. Z osób, które pamiętam, nie mieszka tam już nikt, prócz Madame Sapphii Spanelli, krzepkiej mulatki, codziennie jeżdżącej na wrotkach po Central Parku. Wiem, że ciągle mieszka w kamienicy, bo wszedłem po schodkach i przeczytałem nazwiska na skrzynkach pocztowych. Właśnie jedna z takich skrzynek po raz pierwszy uświadomiła mi istnienie Holly Golightly.

W kamienicy mieszkałem od tygodnia, kiedy na skrzynce należącej do

mieszkania nr 2 zobaczyłem dziwną wizytówkę. Widniało na niej nazwisko wydrukowane elegancką kursywą: *Panna Holly Golightly*, a pod spodem napis: *w podróży*. Całość prześladowała mnie niczym natrętna melodyjka: *Panna Holly Golightly, w podróży*.

Którejś nocy, sporo po dwunastej, obudził mnie krzyk pana Yunioshiego. Jako że mieszkał na najwyższym piętrze, jego donośny, gniewny głos musiał minąć wszystkie piętra, zanim dotarł na dół.

- Panno Golightly! Ja protestuję!

Tembr głosu dochodzącego z dołu schodów tętnił głupotą młodości i rozbawieniem.

- Och, skarbie, przepraszam. Zgubiłam ten cholerny klucz.

- Nie może pani ciągle do mnie dzwonić. Niechże dorobi sobie pani własny klucz, błagam!

- Ależ ja je wszystkie gubię!

- Ja pracuję, muszę się wyspać - krzyknął pan Yunioshi. - A pani zawsze dzwoni do mnie...

- Och, nie gniewaj się, mój kochany, więcej tego nie zrobię. A jak obiecasz, że nie będziesz się gniewał - jej głos zbliżał się, gdy wchodziła po schodach - to może nawet pozwolę ci zrobić te zdjęcia, o których mówiliśmy.

Do tego czasu zdążyłem wyjść z łóżka i uchylić drzwi. Słyszałem milczenie pana Yunioshiego, słyszałem, ponieważ towarzyszyła mu wyraźna zmiana oddechu.

- Kiedy? - spytał. Dziewczyna zaśmiała się.

- Kiedyś - odpowiedziała niedbale.

- W każdej chwili - rzekł i zamknął drzwi. Wszedłem na korytarz i wychyliłem się przez balustradę, akurat na tyle, żeby ją zobaczyć, samemu nie będąc widzianym. Wciąż była na schodach. Teraz dotarła na półpiętro i światło z korytarza padło na pstrokate włosy chłopięcej fryzury, rozwichrzone kosmyki, płowe i białe pasemka, jak u albinosa. Był ciepły, prawie letni wieczór. Miała na sobie szykowną czarną sukienkę, czarne sandały i krótki naszyjnik z pereł. Przy całej swojej modnej szczupłości promieniała zdrowiem rodem z reklamy płatków śniadaniowych: czystość, świeżość, rumieńce. Miała duże usta i zadarty nos. Oczy zakrywały jej ciemne okulary. Była to twarz zawieszona między dzieciństwem a kobiecością. Dawałem jej od szesnastu do trzydziestu lat. Okazało się później, że za dwa miesiące będzie obchodzić dziewiętnaste urodziny.

Nie była sama. Szedł za nią jakiś człowiek. Sposób, w jaki pulchną dłonią obejmował biodro dziewczyny wydawał się niewłaściwy - nie tyle w sensie moralności, co estetyki. Był to niski i korpulentny, opalony w solarium i wypomadowany mężczyzna w prążkowanym garniturze z czerwonym goździkiem więdnącym w butonierce. Kiedy dotarli do jej drzwi, zaczęła przetrząsać torebkę w poszukiwaniu klucza, nie zwracając uwagi na grube wargi ocierające się o jej kark. W końcu jednak znalazła klucz, otworzyła drzwi, odwróciła się w jego stronę i rzekła serdecznie:

- Bóg ci zapłać, skarbie - to miło, że odprowadziłeś mnie do domu.

- Ejże, mała! - krzyknął, bo drzwi zamykały mu się przed nosem.

- Tak, Harry?

- Harry to ten drugi. Ja jestem Sid. Sid Arbuck. Lubisz mnie.

- Uwielbiani pana, panie Arbuck. Ale czas już spać, panie Arbuck.

Pan Arbuck z niedowierzaniem wpatrywał się w zatrzaśnięte drzwi.

- Hej, mała, wpuśćże mnie. Mała, przecież mnie lubisz. Wszyscy mnie lubią. Co, może nie zapłaciłem rachunku za twoich znajomych, za pięć osób, co ich pierwszy raz w życiu widziałem? Chyba zasłużyłem na to, żebyś mnie polubiła? Lubisz mnie przecież, maleńka.

Lekko zapukał do drzwi, potem zaczął dobijać się głośniejszym, wreszcie cofnął się o kilka kroków, przygarbił i napreżył, jakby zamierzał je wyważyć, zmiażdżyć. Zamiast tego zszedł po schodach uderzając pięścią w ścianę. Gdy znalazł się na dole, drzwi mieszkania otwarły się, a dziewczyna wysunęła przez nie głowę.

- Aha, panie Arbuck...

Odwrócił się z uśmiechem i wyrazem ulgi rozlanym po twarzy jak oliwa - a więc tylko żartowała!

- Następnym razem, kiedy dziewczyna poprosi o drobne na toaletę - krzyknęła wcale nie żartując - posłuchaj mojej rady, skarbie: nie dawaj jej dwudziestocentówki!

Dotrzymała obietnicy danej panu Yunioshiemu. Sądzę, że przestała dzwonić do niego, bo zaczęła dzwonić do mnie, czasem o drugiej, trzeciej, czwartej nad ranem. Nie przejmowała się porą, o której zrywała mnie z łóżka, żebym wcisnął guzik otwierający drzwi wejściowe. Ponieważ nie miałem wielu znajomych, a już na pewno żadnego, który mógłby przyjść tak późno, zawsze wiedziałem, że to ona. Ale za pierwszym razem podszedłem do drzwi, spodziewając się złych wieści, może telegramu, a panna Golightly krzyknęła w moją stronę:

- Przepraszam, skarbie, zapomniałam klucza.



Rzecz jasna, nigdy wcześniej nie poznaliśmy się. Choć właściwie kilka razy wpadliśmy na siebie na schodach, czy na ulicy, wydawało mi się, że nawet mnie nie zauważa. Zawsze w ciemnych okularach, zawsze zadbana, zawsze gustownie ubrana w granaty i popiele, których konsekwentna prostota i brak ozdobników sprawiały, że ona sama wprost promieniała. Można ją było wziąć za modelkę, może młodą aktorkę, choć sądząc z jej rozkładu dnia, nie miała czasu ani na jedno, ani na drugie.

Od czasu do czasu spotykałem ją poza naszą dzielnicą. Kiedyś mój krewny, który wpadł z wizytą, zabrał mnie do klubu „21”, gdzie przy najlepszym stoliku, otoczona przez czterech mężczyzn, z których żaden nie był panem Arbuckiem, choć wszystkich łatwo byłoby z nim pomylić, siedziała panna Golightly, apatycznie i bez skrępowania poprawiając fryzurę, a wyraz jej twarzy - niedokończone ziewnięcie - swoim wpływem ostudził podniecenie, jakie czułem, jedząc kolację w tak modnym miejscu. Innego wieczora, w samym środku lata, upał zmusił mnie do ucieczki na ulicę. Poszedłem wzdłuż Trzeciej Alei, aż do Pięćdziesiątej Pierwszej ulicy - tam właśnie znajdował się sklep z antykami, w którego oknie umieszczono obiekt mojego zachwyty: ogromną jak pałac klatkę dla ptaków, istny meczet z minaretami i bambusowymi komnatami wyczekującymi, by zapełniły je gadatliwe papugi. Ale kosztowała 350 dolarów. Wracając do domu zauważyłem tłum taksówkarzy przed lokalem P. J. Clarka, który to tłum najwyraźniej przyciągnęła grupa nasączonych whisky australijskich oficerów zawodzących barytonami „Waltzing Matilda”. Tańczyli na chodniku pod słupami nadziemnej kolejki miejskiej, wirując po kolei z dziewczyną, która (a była nią panna Golightly) płynęła w ich ramionach zwiewna jak szal.

Panna Golightly mogła nie zdawać sobie sprawy z mojego istnienia, oprócz tego, że byłem wygodnym dodatkiem do dzwonnka, lecz ja tego lata stałem się niemal autorytetem w dziedzinie jej obyczajów. Obserwując zawartość kosza na śmieci pod jej drzwiami odkryłem, że czytuje głównie brukowce, foldery biur podróży i horoskopy, pali tajemnicze papierosy zwane „Picayunes”, jada wyłącznie biały ser i pieczywo tostowe, a barwy jej włosów nie są do końca naturalne. Z tego samego źródła zaczerpnąłem informację, że otrzymuje listy od kogoś w wojsku. Były one zawsze podarte na paski, jak zakładki do książek. Czasami, przechodząc obok, podnosiłem jedną z nich. Najczęściej pojawiały się na nich słowa *pamiętaj* i *tęsknię*, i *deszcz*, i *odpisz*, i *cholera*, i *cholera jasna*, od czasu do czasu także *samotny* i *pozdrowienia*.

Miała też kota i grywała na gitarze. Kiedy słońce mocno prażyło, myła głowę i

razem z kotem, rudym i pręgowanym jak tygrys, siadywała na schodach pożarowych, gdzie brzdąkała na gitarze, póki włosy całkiem jej nie wyschły. Słyszac muzykę, zawsze stawałem dyskretnie przy oknie. Grała bardzo dobrze, niekiedy też śpiewała. Miała szorstki, załamujący się głos dorastającego chłopca. Znała wszystkie aktualne szlagiery z modnych musicali, piosenki Cole'a Portera i Kurta Weilla, najbardziej lubiła numery z „Oklahomy”, które tego lata robiły furorę. Ale czasami grała kawałki tak dziwne, że zastanawiałem się, skąd właściwie może pochodzić. Te proste, cklive melodie ze słowami o posmaku lasów i prerii. Jedna z nich zaczynała się: *Nie chcę spać, nie chcę umierać, tylko wędrować po pastwiskach nieba* i chyba do niej właśnie Holly miała największy sentyment, bo grała ją długo, choć już wyschły jej włosy, zaszło słońce i w wieczornym zmierzchu pojawiały się rozświetlone okna.

Jednak nasza znajomość nie rozwijała się zbyt, aż do pewnego wrześniowego wieczoru, kiedy fale chłodu zaczynały przypominać o nadejściu jesieni. Poszedłem wtedy do kina, potem wróciłem do domu i ulokowałem się w łóżku ze szklaneczką whisky i najnowszą powieścią Simenona. Było mi dobrze i wygodnie, a jednak nie mogłem pozbyć się uczucia niepokoju, które narastało do momentu, gdy wreszcie usłyszałem bicie własnego serca. Czytałem już o takim dziwnym wrażeniu, pisałem o nim nawet, ale sam nigdy go nie doświadczyłem. Czułem, że ktoś mnie obserwuje. Że ktoś jest w moim pokoju. Potem usłyszałem gwałtowne stukanie w okno i mignęła przede mną jakaś szara zjawa. Rozlałem drinka. Upłynęła chwila, nim zdobyłem się na to, by podejść do okna i spytać pannę Golightly o cel jej wizyty.

- Mam u siebie przerażającego typu - wyjaśniła, wchodząc do pokoju ze schodów przeciwpożarowych. - To znaczy, jest całkiem miły, kiedy nie pije, ale niech no tylko zacznie chlać, mój Boże, *quel* bestia! Nic mnie bardziej nie wścieka niż faceci, co gryzą. - Zsunęła szary flanelowy szlafrok z ramienia, żeby mi pokazać, co się dzieje, kiedy facet gryzie. Oprócz szlafroka nie miała na sobie nic. - Przepraszam, jeśli cię przestraszyłam. Ale bydlak zrobił się namolny, więc po prostu uciekłam przez okno. Pewnie myśli, że ciągle jestem w łazience, chociaż właściwie guzik mnie obchodzi, co sobie myśli - do diabła z nim - padnie i zaśnie. Boże, na pewno zaśnie - wypił osiem martini przed kolacją, a wina tyle, że można byłoby umyć słonia. Słuchaj, jeśli chcesz, to możesz mnie wyrzucić. Wpakowałam się tu bezczelnie, ale na schodach jest cholernie zimno, a ty wyglądałeś tak miło. Jak mój brat Fred. Sypialiśmy w czwórkę w jednym łóżku i tylko on pozwalał mi się przytulać, żebym nie zmarzła w nocy. A tak przy okazji, mogę ci mówić Fred, prawda? - Zatrzymała się na środku pokoju i

spojrzała na mnie. Nigdy wcześniej nie widziałem jej bez ciemnych okularów, teraz było oczywiste, że nosi szkła korekcyjne, bo bez nich miała taksujące, lekko zezujące spojrzenie jubilera. Jej oczy były duże, trochę niebieskie, trochę zielone, z brązowymi plamkami; wielobarwne jak jej włosy i jak one lśniące ciepłym blaskiem. - Pewnie uważasz, że jestem pomyłona. Albo *tresfou*. Albo...

- Wcale nie.

Wydawała się rozczarowana.

- Owszem, tak uważasz. Jak wszyscy. Mnie to nie przeszkadza. A nawet bywa przydatne.

Usiadła na jednym z rozchwianych krzeseł obitych czerwonym aksamitem, podwinęła nogi i rozglądnęła się dookoła, jeszcze bardziej mrużąc oczy.

- Jak możesz tu wytrzymać? Przecież to istna jaskinia strachu!

- Do wszystkiego można się przyzwyczaić - powiedziałem, zły na siebie, bo tak naprawdę byłem dumny ze swego mieszkania.

- Ja się nie przyzwyczajam. Nigdy i do niczego. Kiedy się przyzwyczajasz, to jakbyś umierał. - znów obrzuciła pokój krytycznym spojrzeniem. - Co ty tu robisz całymi dniami?

- Piszę - powiedziałem, wskazując na stół zavalony książkami i papierem.

- Myślałam, że pisarze są starzy. Oczywiście, Saroyan nie jest stary. Poznałam go na przyjęciu i wcale nie jest stary. Prawdę mówiąc - zastanowiła się - gdyby tak lepiej się ogolił... Nie wiesz przypadkiem, czy Hemingway jest stary?

- Chyba po czterdziestce.

- Nieźle. Facet, który ma mniej niż czterdzieści dwa lata, zupełnie mnie nie bierze. Jedna taka idiotka ciągle wysyła mnie do psychiatry, mówi, że mam kompleks ojca. A to już zupełne *merde*. Ja po prostu nauczyłam się lubić starszych facetów i to najmądrzejsza rzecz, jaką w życiu zrobiłam. A ile lat ma W. Somerset Maugham?

- Nie jestem pewien. Ponad sześćdziesiątkę.

- Całkiem nieźle. Nigdy nie byłam w łóżku z pisarzem. Nie, poczekaj. Znasz Benny'ego Shackletta? - zmarszczyła brwi, kiedy potrząsnąłem głową. - To dziwne. Napisał mnóstwo rzeczy dla radia. Ale *quel* szczur. A ty - jesteś prawdziwym pisarzem?

- Co to znaczy „prawdziwym”?

- No, czy ktoś kupuje twoje książki?

- Jeszcze nie.

- Pomogę ci - powiedziała. - Naprawdę mogę. Pomyśl tylko, znam tylu ludzi, którzy mają znajomości. Pomogę ci, bo wyglądasz jak mój brat Fred. Tylko jesteś niższy. Nie widziałam go odkąd skończyłam czternaście lat, to jest odkąd uciekłam z domu, a on już wtedy miał dobrze ponad sześć stóp i dwa cale. Reszta braci była twojego wzrostu, chucherka. To masło orzechowe tak wyciągnęło Freda do góry. Wszyscy się z niego śmiali, bo miał bzika na punkcie masła orzechowego; nic tylko konie i masło orzechowe. Ale on wcale nie był szurnięty, tylko miły, niezdecydowany i strasznie ociężały. Kiedy uciekłam, trzeci rok siedział w ósmej klasie. Biedny Fred. Ciekawe, czy w wojsku dają dużo masła orzechowego? Co mi przypomina, że jestem głodna.

Wskazałem jej półmisek z jabłkami pytając jednocześnie, jak i dlaczego uciekła z domu w tak młodym wieku. Spojrzała na mnie nieobecny wzrokiem i potarła nos, jakby nagle ją zaswędziało, w geście, który widziałem potem wiele razy. Oznaczał on, że przekroczyłem pewną granicę. Podobnie jak wielu ludzi, którzy odważnie i szczerze wyjawiają osobiste sekrety, ona nabierała czujności słysząc coś, co przypominało bezpośrednie pytanie. Odgryzła kęs jabłka i zażądała:

- Opowiedz mi o czymś, co napisałeś. Jedną ze swoich historyjek.
- Na tym właśnie polega problem. Tych historii nie da się opowiedzieć.
- Za bardzo nieprzyzwoite?
- Być może. Kiedyś pozwolę ci którąś przeczytać.
- Whisky i jabłka pasują do siebie. Nalej mi drinka, skarbie, a potem sam możesz mi coś przeczytać.

Niewielu autorów, zwłaszcza niepublikowanych, potrafi oprzeć się zaproszeniu do odczytania na głos swoich utworów. Przygotowałem nam obojgu drinki i usadowiwszy się w krzesła naprzeciw niej, zacząłem czytać głosem drżącym z tremy i podniecenia nowe opowiadanie, które skończyłem pisać poprzedniego dnia, toteż nieuchronne poczucie niedosytu nie miało jeszcze czasu się rozwinąć. Była to historia dwóch kobiet, nauczycielek mieszkających pod jednym dachem. Kiedy jedna z nich się zaręcza, druga zaczyna rozsyłać anonimowe liściki, które wywołują skandal, uniemożliwiając małżeństwo. Czytając, spoglądałem od czasu do czasu na Holly i z każdym rzutem oka coś ścisnęło mi serce. Wierciła się. Rozsypywała niedopałki w popielniczkę, oglądała paznokcie marząc o pilniku; co gorsza, kiedy wydawało mi się, że przyciągam jej uwagę, w jej oczach pojawiał się szczególnie wyraz rozkojarzenia, jakby zastanawiała się, czy kupić parę butów widzianych na wystawie.

- To już koniec! - spytała, budząc się. Przez chwilę szukała jeszcze czegoś do powiedzenia.

- Naturalnie, lubię lesbijki. Wcale się ich nie boję. Za to historie o lesbijskich nudzą mnie jak wszyscy diabli. No bo, skarbie - dodała, widząc moje wyraźne zdumienie - jeśli to nie jest o dwóch starych lesbach, to o czym, do cholery?

Nie byłem jednak w nastroju, by do pomyłki, jaką było przeczytanie jej opowiadania, dokładać jeszcze kłopotliwe wyjaśnienie. Ta sama próżność, która skłoniła mnie do występu, kazała mi teraz ocenić Holly jako gruboskórną, bezmyślną pozerkę.

- Nawiasem mówiąc - powiedziała - nie znasz przypadkiem jakichś miłych lesbijskich? Szukam współlokatorki. No, nie śmiej się. Jestem straszną bałaganiarą, nie stać mnie na służącą, a lesbijki naprawdę świetnie sobie radzą w domu; lubią wszystkie prace domowe, nigdy nie musisz zawracać sobie głowy sprzątnięciem, praniem i rozmrażaniem lodówki. Miałam kiedyś współlokatorkę w Hollywood, grała w westernach, nazywali ją Samotny Jeździec, ale muszę powiedzieć, że w domu radziła sobie lepiej, niż mężczyzna. Oczywiście ludzie myśleli, że też mam w sobie coś z lesbijskiej. No bo rzeczywiście mam. Każdy trochę ma. I co z tego? To wcale nie odstrasza facetów, wręcz przeciwnie, chyba ich nawet kręci. Samotny Jeździec dwa razy wychodziła za mąż. Zwykle lesbijskom wystarcza jeden ślub, dla nazwiska. Później dodaje im to prestiżu: być panią Taką czy Owaką. To niemożliwe! - krzyknęła, wpatrując się w budzik na stole - Już wpół do piątej!

Niebo za oknem błękitniało. Poranny wietrzyk poruszył zasłonami.

- Jaki dziś dzień?

- Czwartek.

- Czwartek. - Podniosła się. - Mój Boże - jęknęła, siadając ponownie. - To okropne.

Byłem wystarczająco zmęczony, by nie odczuć zaciekawienia. Położyłem się na łóżku i zamknąłem oczy. A jednak mnie to zafrapowało.

- Co takiego okropnego jest w czwartku?

- Nic. Tyle tylko, że nigdy nie pamiętam, kiedy wypada. Widzisz, w czwartki za kwadrans dziewiąta muszę złapać pociąg. Oni tam bardzo przestrzegają pór odwiedzin, więc jak się przyjedzie koło dziesiątej, to zostaje godzina, zanim ci biedacy dostaną lunch. Wyobrażasz sobie? Lunch o jedenastej! Można przyjechać o drugiej i mnie by to bardziej pasowało, ale on woli, żebym tam była rano. Mówi, że poprawia

mu to humor na cały dzień. Nie mogę teraz usnąć - powiedziała, szczypiąc się w policzki, żeby wywołać rumieńce. - Nie ma już czasu na sen, wyglądałabym jak suchotniczka i leciałabym z nóg, a to nie byłoby w porządku; dziewczyna nie powinna jechać do Sing Sing z podkrążonymi oczami.

- Zapewne. - Gniew, który poczułem z powodu mojego opowiadania ulotnił się, a ona znów zdołała mnie zafrapować.

- Wszystkie kobiety, które przychodzą na widzenia bardzo chcą wyglądać jak najlepiej i jest to takie wzruszające, takie okropnie miłe. Kobiety wkładają najładniejsze ubrania, nawet te stare i te naprawdę biedne starają się ze wszystkich sił, żeby ładnie wyglądać i ładnie pachnieć; uwielbiam je za to. Uwielbiam też dzieci, zwłaszcza kolorowe. To znaczy, dzieci przyprowadzane przez żony. Właściwie widok dzieci w takim miejscu powinien być smutny, ale nie jest; wszystkie te wstążki we włosach i wypastowane bučki, jakby szły na lody. Czasami w sali widzeń jest jak na przyjęciu. To wcale nie wygląda jak w filmach, no wiesz, ponure szeptki przez kratę. Tam nie ma żadnej kraty, tylko taka lada między więźniami i odwiedzającymi. Mogą na niej stawać dzieci, kiedy chcą się przytulić, a żeby kogoś pocałować albo objąć wystarczy się przechylić na drugą stronę. Najbardziej mi się podoba, że wszyscy tak się tam cieszą na swój widok i mają sobie tyle do opowiedzenia, nigdy się nie nudzą, tylko śmieją się i trzymają za ręce. Potem jest inaczej. Widuję ich w pociągu. Siedzą sobie cichutko i patrzą na rzekę. - Chwyła pasemko włosów i włożyła do ust, żując z namysłem. - Nie daję ci zasnąć. Śpij.

- Wolę słuchać, jak mówisz.

- Wiem, że wolisz. Dlatego właśnie chcę, żebyś zasnął. Bo jak będę dalej gadać, to w końcu opowiem ci o Sallym. A to chyba nie byłoby w porządku. - W milczeniu żuła włosy - Nigdy nie bronili mi mówić na ten temat. Nie dosłownie. Zabawne. Mógłbyś napisać o tym opowiadanie, wiesz, ze zmienionymi nazwiskami i tak dalej. Słuchaj, Fred - powiedziała sięgając po kolejne jabłko - musisz przysiąc i pocałować się w łokieć...

Być może akrobaci potrafią pocałować się w łokieć. W moim przypadku musiała jej wystarczyć nieudana próba.

- Zresztą - powiedziała z ustami pełnymi jabłka - i tak możesz o nim przeczytać w gazetach. Nazywa się Sally Tomato i ja mówię w jidysz lepiej, niż on po angielsku, ale to przesłodka staruszek, strasznie pobożny. Gdyby nie te złote zęby, wyglądałby jak mnich. Mówi, że modli się za mnie co wieczór. Oczywiście, nigdy nie był moim

kochankiem. Tak naprawdę, to wcale go nie znałam zanim, poszedł do więzienia. Ale teraz, po tych wszystkich odwiedzinach co czwartek przez siedem miesięcy po prostu za nim przepadam. I pewnie dalej bym go odwiedzała, nawet gdyby mi nie płacił. To jabłko jest zgniłe - powiedziała i cisnęła ogryzek przez okno. - Właściwie znałam go tylko z widzenia. Przychodził do knajpy Joe Bella, tej za rogiem. Nie odzywał się do nikogo, stał tylko przy barze, jak faceci, którzy mieszkają w hotelach. Zabawnie jest przypominać go sobie teraz i zdać sobie sprawę, że musiał mnie naprawdę dobrze obserwować, bo przecież zaraz po tym, jak poszedł do paki (Joe Bell pokazał mi jego zdjęcie w gazecie. Przemyt. Mafia. Wszystko to lipa, ale dostał pięć lat.), przyszedł telegram od jego prawnika. Prosił o natychmiastowy kontakt w sprawie, która mogła mi przynieść pewne korzyści.

- Myślałaś, że ktoś zostawił ci milion dolarów?

- Wcale nie. Myślałam, że przyszli po pieniądze od Bergdorfa. Ale postanowiłam zaryzykować i poszłam na spotkanie z prawnikiem (jeśli to w ogóle jest prawnik, w co szczerze wątpię, bo nie ma nawet własnego biura, tylko serwis telefoniczny i zawsze umawia się ze mną w barze szybkiej obsługi Hamburg Heaven. Dlatego jest taki gruby; potrafi zjeść dziesięć hamburgerów i dwie porcje lodów i jeszcze cytrynową bezę). Zapytał, czy chciałabym pocieszyć pewnego samotnego staruszka i zarobić przy tym stówę tygodniowo. Odpowiedziałam, posłuchaj, skarbie, pomyliłeś mnie z inną panną Golightly, nie jestem pielęgniarką, co to się puszcza na boku. Zresztą honorarium też nie zrobiło na mnie wrażenia, bo tyle mogę zarobić na drobnych do toalety: każdy facet z klasą daje pięćdziesiąt dolców, kiedy idę do toalety i jeszcze drugie tyle, jeśli poproszę o pieniądze na taksówkę. Ale on mi powiedział, że chodzi o jego klienta Sally'ego Tomato. Powiedział, że kochany stary Sally od dawna wielbił mnie *a la distance*, więc odwiedzając go co tydzień, zrobiłabym dobry uczynek. Nie mogłam odmówić, to przecież takie romantyczne.

- No, nie wiem. Coś mi się tu nie podoba. Uśmiechnęła się.

- Myślisz, że kłamię?

- Przede wszystkim nie pozwalają każdemu, tak po prostu odwiedzać więźnia.

- Jasne, że nie. Prawdę mówiąc, jest z tym sporo zamieszania. Udaję jego siostrzenicę.

- I to wszystko? Za godzinę rozmowy tygodniowo płaci ci sto dolarów?

- Nie on, jego prawnik. Pan O'Shaughnessy wysyła mi pieniądze jak tylko przekażę prognozę pogody.

- Czuję, że pakujesz się w niezłą kabałę - powiedziałem i wyłączyłem lampę; jej światło nie było nam potrzebne, wstawał nowy dzień i gołębie gruchały na schodach pożarowych.

- A to czemu? - spytała z powagą.

- Prawo na pewno przewiduje kary za podawanie fałszywej tożsamości. No bo przecież nie jesteś jego siostrzenicą. A o co właściwie chodzi z tą prognozą pogody?

Przysłoniła dłonią ziewnięcie.

- Nic takiego. To po prostu wiadomości, które zostawiam mu na serwisie telefonicznym, żeby pan O'Shaughnessy wiedział, że na pewno tam byłam. Sally mówi mi, co mam przekazać, na przykład, bo ja wiem „huragan na Kubie”, albo „w Palermo pada śnieg”. Nie martw się o mnie, skarbie - dodała podchodząc do łóżka. - Radzę sobie sama od dłuższego czasu.

Poranne światło zdawało się na niej załamywać i kiedy przykrywała mnie kołdrą, lśniła jak przezroczyste dziecko. Potem położyła się obok mnie.

- Mogę? Chcę tylko przez chwilę odpocząć. Nie mówmy już nic, śpijmy.

Udawałem, że śpię. Staralem się oddychać ciężko i regularnie. Dzwony na wieży pobliskiego kościoła wybiły pół godziny, potem godzinę. O szóstej musnęła moje ramię delikatnym dotykiem, który nie mógłby mnie obudzić.

- Biedny Fred - szepnęła. Miałem wrażenie, że mówi do mnie, ale tak nie było. - Gdzie jesteś, Fred? Tak tu zimno. I wiatr niesie śnieg.

Oparła policzek o moje ramię - ciepły, wilgotny i ciężki.

- Dlaczego płaczesz? Zerwała się z łóżka.

- Na miłość boską! - krzyknęła zmierzając w stronę okna i schodów przeciwpożarowych - nienawidzę wścibstwa!

Następnego dnia, w piątek, znalazłem pod drzwiami przepyszny kosz od Charlesa & Co z jej wizytówką: *Panna Holly Golightly, w podróży*. Na odwrocie niewprawną dłoń nabazgrała krzywym pismem przedszkolaka: *Fred, skarbie, dzięki. Przepraszam za tamten wieczór. Zachowałeś się jak anioł. Mille tendresses - Holly. P.S. Nie będę Cię już nachodzić*. Odpisałem: *Nachodź mnie koniecznie!* i zostawiłem kartkę pod jej drzwiami z tym, na co było mnie stać, czyli bukietem fiołków od ulicznego sprzedawcy. Najwyraźniej jednak postanowiła dotrzymać obietnicy, ponieważ rzeczywiście nie kontaktowała się ze mną i chyba nawet zdobyła się na dorobienie klucza do drzwi frontowych. W każdym razie przestała do mnie dzwonić. Brakowało mi tego. Z upływem dni zacząłem odczuwać coś na kształt



nieuzasadnionego żalu, jakby zaniedbał mnie bliski przyjaciel. W moje życie zakradła się niepokojąca samotność, ale brakło mi zapału do nawiązania kontaktu ze starymi znajomymi, którzy przypominali mi teraz dietę bez soli i cukru. W środę myśli o Holly, Sing Sing i Sallym Tomato, o świecie, w którym mężczyźni lekką ręką wydają ponad pięćdziesiąt dolarów na toaletę opanowały mnie na dobre, nie pozwalając pracować. Wieczorem zostawiłem w jej skrzynce wiadomość: *Jutro czwartek. Następnego ranka przyniósł nagrodę w postaci liściku nagryzzonego dziecinny charakterem pisma: *Dzięki, że mi przypomniałeś. Wpadniesz koło szóstej na drinka?**

Odczekałem do dziesięć po szóstej, a potem zmusiłem się do zwleknięcia jeszcze przez pięć minut.

Drzwi otwarło dziwne indywiduum. Facet pachniał cygarami i wodą kolońską Knize. Paradował w butach na podwyższonych obcasach. Bez tych kilku dodanych centymetrów można by go było wziąć za Osobę Niskiego Wzrostu. Jego łysa, piegowata głowa była nieforemnie duża, jak u karła. Zdobiła ją para spiczastych, prawdziwie chochlikowatych uszu. Miał oczy pekińczyka, chłodne i lekko wylupiające. Z uszu i nosa sterczały mu kępki włosów, szczękę pokrywał popołudniowy zarost, nawet uścisk dłoni wydawał się włochaty.

- Mała bierze prysznic - powiedział wskazując cygarem w stronę, z której dochodził szum wody. Staliśmy (bo nie było na czym usiąść) w pokoju wyglądającym, jakby dopiero co się do niego wprowadzono, można było oczekiwać zapachu mokrej farby. Rolę jedynych mebli pełniły walizki i nierozpakowane skrzynie. Te ostatnie służyły za stoły. Na jednej stały drinki z martini, na drugiej - lampa, podrózne radio skrzynkowe, rudy kot Holly i wazon z żółtymi różami. Ciągające się wzdłuż całej ściany półki mieściły wszystkiego kilkanaście książek. Od razu spodobał mi się ten pokój i panująca w nim atmosfera tymczasowości.

Mężczyzna odchrząknął.

- Spodziewa się ciebie?

Skinąłem głową cokolwiek niepewnie. Zimnymi oczyma dokonał na mnie kilku chirurgicznych cięć - badawczych i precyzyjnych.

- Przyjdzie tu tłum takich, których nikt nie zapraszał. Od dawna ją znasz?

- Raczej nie.

- Czyli znasz ją od niedawna?

- Mieszkam piętro wyżej. - To chyba wystarczyło, żeby go uspokoić.

- Ten sam rozkład?

- Dużo mniejszy. Strzepnął popiół na podłogę.

- Ale nora. Wierzyć się nie chce. Mała nie wie jak żyć, nawet kiedy ma kasę. - W jego głosie pobrzmiwał urywany, metaliczny rytm, coś jak dalekopis. - No, co myślisz; jest czy nie jest?

- Kim?

- Bлагierką.

- Nie powiedziałbym.

- To się mylisz. Jest. A z drugiej strony masz rację. Nie jest, bo jest szczerą blagierką. Wierzy w te wszystkie brednie, które wygaduje. Nie wybijesz ich jej z głowy. Próbowałem, aż łzy ciekły mi z oczu. Benny Polan, co go wszyscy szanują, też próbował. Chciał się z nią ożenić, ale się nie zgodziła, wydał tysiące na jej psychiatrów. I nawet ten sławny, co to mówi tylko po niemiecku, też spasował. Nie wybijesz jej z głowy tych... - zacisnął pięść, jakby próbował pochwycić coś nieuchwytnego - ... pomysłów. Spróbuj kiedyś. Niech ci opowie coś z tego, w co wierzy. A jednak lubię tę małą - dodał.

- Wszyscy ją lubią, ale wielu jej nie znosi. Lubię ją. To dlatego, że jestem wrażliwy. Trzeba być wrażliwym, żeby ją docenić, trzeba mieć w sobie duszę poety. Ale powiem ci prawdę. Możesz stawać dla niej na rżęsach, a ona i tak zrobi cię na szaro. Na przykład, kogo ci dziś przypomina? Dziewczyne, co skończy na dnie butelki z prochami. Widywałem już takie rzeczy w życiu, ile razy, ale tamte dzieciaki nie były nawet stuknięte. Ona jest stuknięta.

- Ale młoda. I ma przed sobą jeszcze wiele lat młodości.

- Jeśli masz na myśli przyszłość, to znowu się mylisz. Parę lat temu, na zachodnim wybrzeżu, mogło być całkiem inaczej. Zrobiła wrażenie, zaczęli się nią interesować i naprawdę mogła zająć daleko. No, ale jeśli olewa się coś takiego, to już nie ma powrotu. Spytaj Luise Rainer. A przecież Rainer była gwiazdą. Jasne, Holly gwiazdą nie była, nigdy nie wyszła poza fotki reklamowe. Ale to było przed „Historią doktora Wassella”. Wtedy naprawdę mogła się pokazać. Wiem, bo sam ją do tego pchałem. - Skierował cygaro na siebie - O. J. Berman.

Spodziewał się, że go poznam, a ja nie miałem zamiaru wyprowadzać go z błędu, choć tak naprawdę nigdy o nim nie słyszałem. Jak się potem okazało, był agentem hollywoodzkich aktorów.

- Pierwszy ją wypatrzyłem. Na wyścigach w Santa Anita. Włóczyła się tam

codziennie. Zainteresowałem się, zawodowo. Okazało się, że była z jakimś dzokejem, nawet mieszkała z tym konusem. Wyraźnie mu powiedziałem: Spadaj! i postraszyłem glinami z obyczajówki, przecież mała miała dopiero piętnaście lat. Ale miała też styl, umiała się sprzedać. Nawet w tych grubaśnych okularach, nawet kiedy otwierała usta i zaczęła zasuwając jakąś wsiową gwarą. Z Apalachów, czy z Oklahomy za chlebem? Pojęcia nie mam. Pewnie nikt się nie dowie, skąd pochodzi. Tak kłamię, że sama już pewnie nie wie. Cały rok męczyliśmy się z jej akcentem. Wreszcie udało nam się, daliśmy jej lekcje francuskiego. Jak nauczyła się naśladować francuski, to i z angielskim jakoś poszło. Chcieliśmy ją przerobić na coś w stylu Margaret Sullivan, niechby sobie nawet trochę nawrzucała od czasu do czasu. Interesowali się nią ludzie i to prawdziwe grube ryby, a w dodatku Benny Polan, szanowany gość, chciał się z nią ożenić. Czego więcej może chcieć agent? A potem - dup! „Historia doktora Wassella”. Kojarzysz film? Cecil B. De Mille, Gary Cooper. Jezus Maria. Naharowałem się jak wół, wszystko załatwiłem. Mieli ją wziąć na casting do roli pielęgniarki doktora Wassella. No, jednej z jego pielęgniarek. A tu dup! Dzwoni telefon. - Odebrał wymyśloną słuchawkę i podniósł ją do ucha.

- Mówi mi „Tu Holly”, ja na to „Skarbie, kiepsko cię słychać”, a ona mi mówi, że jest w Nowym Jorku. Pytam „Co ty do cholery robisz w Nowym Jorku, przecież jest niedziela i jutro masz przesłuchanie”. A ona mi mówi „Jestem w Nowym Jorku, bo nigdy tu nie byłam”. Więc każę jej brać dupę w troki i wracać najbliższym samolotem. A ona mi na to, że nie chce. Pytam „O co ci właściwie chodzi, mała?” Powiedziała, że trzeba chcieć coś robić, żeby to robić dobrze, a ona nie chce. No to pytam „Czego ty chcesz, do diabła?”, a ona „Jak sama się dowiem, to od razu dam ci znać”. Sam widzisz - ani się obejrzysz, a zrobi cię na szaro.

Rudy kot zeskoczył ze skrzyni i zaczął się łaścić o jego nogę. Mój rozmówca uniósł go czubkiem buta i podrzucił, co było z jego strony dość niehumanitarne, tyle tylko, że facet chyba nawet nie zauważył kota, tak był skupiony na własnej irytacji.

- Tego właśnie chce? - zapytał, rozrzucając ręce na boki. - Tłumów nieproszonych gości? Życia z napiwków. Zadawania się z hołotą. Żeby mogła wyjść sobie za Rusty'ego Trawlera? I co? Może mam jej za to jeszcze dać medal?

Czekał na odpowiedź, spoglądając złowrogo.

- Przykro mi, ale nie znam go.

- Nie znasz Rusty'ego Trawlera. To tak jakbyś nie znał małej. Szkoda. - Cmoknął językiem w ogromnej głowie. - Myślałem, że może ty masz na nią jakiś

wpływ. Że może z nią pogadasz, zanim będzie za późno.

- Sam pan twierdzi, że jest już za późno.

Wydmuchnął kółko z dymu, poczekał, aż się rozwieje, wreszcie uśmiechnął się. Ten uśmiech zmienił jego twarz, dodał łagodności.

- Jeszcze mógłbym to i owo załatwić. Tak jak ci mówiłem - jego głos zabrzmiał teraz szczerze. - Naprawdę lubię tę małą.

- Co za plotki rozsiewasz, O. J.? - Holly wkroczyła do pokoju, mniej więcej owinięta ręcznikiem, zostawiając mokre ślady stóp na podłodze.

- Te co zawsze. Że jesteś szurnięta. - Fred już to wie.

- Ale ty nie wiesz.

- Zapal mi papierosa, skarbie - poprosiła zdejmując czepek pod prysznic i rozrzucając włosy. - Nie ty, O. J. Straszny z ciebie flejtuch, zawsze ślinisz ustnik, jak czarnuchy.

Podniosła kota i umieściła go na swoim ramieniu. Usadowił się tam z wyczuciem równowagi ptaka, wplątał łapy w jej włosy, jak w kłębek włóczki. A jednak, mimo tych przyjaznych wyglupów, był to ponury kot z blizną godną pirata, jednym okiem ślepym od zaćmy, a drugim połyskującym złowrogo.

- O. J. to flejtuch - powtórzyła Holly, przyjmując zapalonego przeze mnie papierosa - ale zna mnóstwo numerów telefonów. Jaki jest numer do Davida O'Selznicka, O. J.?

- Odpuść sobie.

- Wcale nie żartuję, skarbie. Chcę, żebyś do niego zadzwonił i powiedział mu, jaki z Freda geniusz. Napisał całą masę fantastycznych opowiadań. Nie masz się co czerwienić, Fred to nie ty powiedziałaś, że jesteś geniuszem, tylko ja. No, O. J., jak zrobisz z Freda bogacza?

- Powiedzmy, że najpierw z nim to obgadamy.

- Pamiętaj - powiedziała na odchodnym. - Jestem jego agentką. I jeszcze jedno: jak cię zawołam, przyjdź zapiąć mi sukienkę. A jak ktoś będzie pukał - otwórz.

Przyszło mnóstwo ludzi. W ciągu następnego kwadransa mieszkanie zapełniła cała gromada mężczyzn. Kilku z nich miało na sobie mundury. Wypatrzyłem dwóch oficerów marynarki i jednego pułkownika lotnictwa. Przygniatającą większość stanowili jednak szpakowaci panowie, którym pobór do wojska raczej już nie groził. Poza zaawansowanym wiekiem, goście nie mieli żadnych cech wspólnych i byli sobie najwyraźniej całkowicie obcy. Każdy kolejny przybyły z trudem ukrywał

niezadowolenie na widok zgromadzonego towarzystwa. Wyglądało na to, że gospodyni rozdawała zaproszenia zataczając się od baru do baru. I pewnie tak było. Jednak gdy minęła już początkowa niechęć, panowie bez trudu przełamali lody. Szczególną aktywnością w tym względzie wykazywał się O. J. Berman, który z zapalem zajął się resztą towarzystwa, byle tylko uniknąć rozmów na temat mojej przyszłej kariery w Hollywood. Stałem więc, zdany na siebie obok półek z książkami. Ponad połowa z nich dotyczyła koni, reszta była o baseballu. Markowanie zainteresowania lekturą książki „Konie wyścigowe i jak je rozróżnić” dało mi sposobność bliższego przyjrzenia się przyjaciołom Holly.

Jeden z nich wyraźnie odcinał się od reszty. Przypominał dziecko w średnim wieku, które nigdy nie pozbyło się typowo dziecinnej pulchności, aczkolwiek jakiemś zdolnemu krawcowi prawie udało się zamaskować krągłość pośladków, jakby stworzonych do klapsów. W jego ciele nie było widać ani jednej kości. Miał pyzată twarz o delikatnych, drobnych rysach i niewinnym wyrazie. Wyglądał jakby dopiero się urodził, a chwilę potem rozciągnął, przy czym jego skóra pozostała gładka, niczym nadmuchany balon, a usta, chociaż gotowe do wybuchów wrzasku i napadów wściekłości, były słodko, kapryśnie wydęte. Jednak to nie wygląd wyróżniał go najbardziej spośród pozostałych gości - dobrze zakonserwowane noworodki nie są aż taką rzadkością. W oczy rzucał się przede wszystkim jego sposób bycia. Zachowywał się jak gospodarz, jak gwiazda przyjęcia, jak ruchliwa ośmiornica. Robił drinki z martini, przedstawiał sobie gości, zajmował się gramofonem. Trzeba jednak przyznać, że większość jego działań dyktowała gospodyni: „Rusty, czy mógłbyś...?”, „Rusty, czy zechciałbyś...?” Jeśli był w niej zakochany, to całkiem nieźle udawało mu się panować nad zazdrością - zazdrosny mężczyzna z pewnością straciłby kontrolę nad sobą na widok zachowania Holly, która krążyła po pokoju z kotem na ramieniu, poprawiając niezliczone krawaty lub strzepując pył z klap garniturów, na przykład dość dokładnie wypolerowała jeden z medali pułkownika lotnictwa.

Mężczyzna - dziecko nazywał się Rutherford („Rusty”) Trawler. W 1908 roku stracił oboje rodziców - ojciec padł ofiarą anarchisty, a matka - ofiarą szoku, to podwójne nieszczęście sprawiło, że w wieku pięciu lat Rusty stał się nagle sierotą, milionerem i bardzo sławną postacią. Od tego czasu często gościł na łamach plotkarskich czasopism, a jego popularność osiągnęła apogeum, gdy jako nastolatek doprowadził do aresztowania swego ojca chrzestnego i prawnego opiekuna w jednej osobie pod zarzutem sodomii. Potem kolejne śluby i rozwody zapewniły mu stałą

uwagę brukowców. Jego pierwsza żona po otrzymaniu alimentów przyłączyła się do konkurentów Międzynarodowego Ruchu Pokojowego. Po drugiej wszelki śluch zaginął, za to trzecia pozwała go do sądu stanowego w Nowym Jorku, wspierając się potężną ilością dowodów i zeznań. Z ostatnią panią Trawler rozwiódł się sam, ponieważ wedle oficjalnego oświadczenia prasowego, wszczęła bunt na pokładzie jego jachtu, wskutek czego Rusty'ego wysadzono na wyspach Dry Tortugas. Od tego czasu pozostawał kawalerem, choć tuż przed wojną oświadczył się ponoć Unity Mitford<sup>1</sup>.<sup>[1</sup> Unity Mitford - brytyjska arystokratka, która mocno zaangażowała się w ruch nazistowski, posądzano ją nawet o romans z Hitlerem.] Ściślej mówiąc, plotka głosiła, iż zaproponował, że ją poślubi, gdyby Hitler tego nie zrobił. Z tego powodu prasa określała go często mianem nazisty. Fakt, że Rusty uczęszczał na wiece faszystów w Yorkville, przyczynił się zapewne do ugruntowania tej opinii.

Nie dowiedziałem się tych rewelacji od żadnej z osób obecnych na przyjęciu. Znalazłem je sam w „Przewodniku po baseballu”, kolejnej pozycji z półki Holly, którą najwidoczniej wykorzystywała jako album na wycinki. Pomiędzy kartkami tkwiły zdjęcia i artykuły wycięte z prasy bulwarowej. *Rusty Trawler i Holly Golightly na premierze „Dotyku Wenus”*. Holly podeszła od tyłu i przyłapała mnie na czytaniu wycinka *Panna Holly Golightly z Bostonu umiła dni złotemu Rusty 'emu Trawlerowi*.

- Podziwiasz moją prasę, czy jesteś fanem baseballa? - zapytała, poprawiając okulary i zerkając mi przez ramię.

Odpowiedziałem jej pytaniem na pytanie.

- Jaka jest prognoza pogody na ten tydzień? Mrugnęła do mnie, ale bez uśmiechu: to było ostrzeżenie.

- Uwielbiam konie, za to baseballa nie znoszę - oświadczyła i coś w tonie jej głosu kazało mi zapomnieć o Sallym Tomato. - Nie cierpię, jak mówią o tym w radio, ale muszę słuchać, to część moich badań. Mało jest tematów, na które potrafią rozmawiać mężczyźni. Jeśli facet nie lubi baseballa, to na pewno interesuje się końmi, a jeśli nie lubi również koni, to mam problem, bo nie lubi dziewczyn. Jak ci idzie z O. J.?

- Rozstaliśmy się za porozumieniem stron.

- Uwierz mi, taka okazja nie zdarza się co dzień.

- Wierzę ci. Ale co takiego ja mogę mu zaproponować, żeby zinterpretował to

jako okazję?

- Idź tam i wmów mu, że wcale nie wygląda komicznie. - Nie dawała za wygraną. - Fred, on naprawdę może ci pomóc.

- Słyszałem, że ty akurat nie okazałaś mu przesadnej wdzięczności za pomoc - powiedziałem, a ponieważ spojrzała na mnie pytająco, wyjaśniłem - „Historia doktora Wassella”.

- Ciągłe ma mi za złe? - zapytała i rzuciła ciepłe spojrzenie w stronę Bermana. - Właściwie ma rację, powinnam mieć wyrzuty sumienia. I to wcale nie dlatego, że miałam szansę dostać tę rolę i byłabym w niej dobra. Nigdy bym jej nie dostała, poza tym zupełnie się do niej nie nadawałam. Ale wyrzuty sumienia mam chyba dlatego, że pozwoliłam mu w to uwierzyć, chociaż sama nie wierzyłam ani trochę. Grałam na czas, żeby się trochę podszkolić: dobrze wiedziałem, że nigdy nie będę gwiazdą filmową. To za trudne, a jeżeli jesteś do tego inteligentny, robi się żenujące. Mnie brakuje kompleksów; ludziom wydaje się, że gwiazdy filmowe to wielkie osobowości, a tymczasem w tym wszystkim chodzi o to, żeby nie mieć żadnej osobowości. Pewnie, że nie miałabym nic przeciwko temu, by stać się bogatą i sławną. Bardzo chcę być bogata i sławna i kiedyś się tym zajmę, ale zamierzam też zachować osobowość. Chcę być sobą, kiedy któregoś pięknego ranka wstanę i zjem śniadanie u Tiffany’ego<sup>1</sup>. [Tiffany - jeden z najsłynniejszych i najbardziej wykwintnych salonów jubilerskich w Nowym Jorku.] Nie masz kieliszka. - Nagle zwróciła uwagę na moje puste dłonie. - Rusty! Przyniesź mojemu przyjacielowi drinka! Wciąż tuliła do siebie kota.

- Biedny przybłąda - powiedziała, głaszcząc go po łebku. - Biedny bezimienny przybłąda. To trochę uciążliwe, że nie ma imienia. Ale nie mam prawa dawać mu imienia, musi poczekać, aż będzie do kogoś należał. My dwoje po prostu spotkaliśmy się kiedyś nad rzeką i wcale do siebie nie należymy. On jest zupełnie niezależny i ja też. Nie chcę niczego mieć, dopóki nie znajdę takiego miejsca, w którym ja i otoczenie będziemy do siebie pasować. Nie wiem jeszcze, gdzie to jest, ale wiem, jak tam będzie.

- Uśmiechnęła się i postawiła kota na podłodze. - Jak u Tiffany’ego. Bizuterię mam gdzieś. Brylanty - owszem, owszem. Ale noszenie ich przed czterdziestką to bezguście, a nawet potem trzeba z nimi uważać. Tylko na starszych paniach wyglądają naprawdę dobrze. Taka Maria Ouspenska<sup>3</sup> - tylko zmarszczki i kości, siwe włosy i brylanty. Też chciałabym kiedyś tak wyglądać. Ale nie dlatego mam fioła na punkcie

---

<sup>3</sup> Maria Ouspenska/Ouspenskaya (1876 - 1949) - aktorka amerykańska rosyjskiego pochodzenia, jedna z najpopularniejszych aktorek charakterystycznych w przedwojennym kinie amerykańskim.

Tiffany'ego. Wiesz, jak to jest, kiedy ma się prawdziwe doły?

- Chodzi ci o chandrę?

- Nie - odparła powoli. - Chandrę masz, kiedy pada, albo kiedy przytyjesz parę kilo. Jesteś po prostu przygnębiony i tyle. Prawdziwe doły to coś straszego. Czujesz lęk, zlewa cię zimny pot i nie wiesz nawet, czego się boisz. Wiesz, że zaraz zdarzy się coś straszego, ale nie wiesz co. Miewasz takie uczucie?

- Dostyc często. Niemcy nazywają to *angst*.

- *Angst*? Może być. Jak sobie z tym radzisz?

- Zwykle pomaga mi drink.

- Próbowałam tego. Próbowałam też aspiryny. Rusty uważa, że powinnam palić marihuanę, paliłam ją nawet przez jakiś czas, ale miałam po niej tylko głupawkę. Wreszcie odkryłam, co mi najbardziej pomaga: muszę wsiąść do taksówki i pojechać do Tiffany'ego. Tam od razu się uspokajam, to takie ciche i dostojne miejsce. U Tiffany'ego nic ci nie grozi, nie ze strony tych uprzejmych sprzedawców w eleganckich garniturach i cudownego zapachu srebra i portfeli z wężowej skóry. Jeśli uda mi się znaleźć miejsce, gdzie będę się czuła jak u Tiffany'ego, kupię meble i nadam kotu imię. Wymyśliłam sobie, że po wojnie Fred i ja... - nasunęła ciemne okulary, spoza których spojrzenie wielobarwnych, szaro - niebiesko - zielonych oczu nabrało ostrości. - Byłam kiedyś w Meksyku. Wspaniały kraj na hodowlę koni. Wypatrzyłam już takie miejsce nad morzem. Fred ma dobrą rękę do koni.

Nadciągnął Rusty Trawler z kieliszkiem martini. Wręczył mi drinka, nie spojrzawszy nawet w moim kierunku.

- Jestem głodny - oświadczył rozkapryszonym dziecinnym głosem pasującym do całej jego sylwetki. W głosie tym pobrzmiwała pretensja do Holly. - Jest już wpół do ósmej, a ja jestem głodny. Wiesz przecież, co mówił lekarz.

- Tak, Rusty. Wiem, co mówił lekarz.

- No to kończ już. Chodźmy stąd.

- Zachowuj się grzecznie, Rusty - mówiła łagodnie, ale tonem guwernantki karcącej dziecko, co sprawiło Rusty'emu wyraźną przyjemność. Na jego twarzy wykwitł dziwny rumieniec rozkoszy, może wdzięczności.

- Nie lubisz mnie - poskarżył się, jakby byli sami.

- Nikt nie lubi niegrzecznych chłopców. Najwyraźniej powiedziała coś, co chciał usłyszeć; słowa Holly uspokoiły go i podekscytowały. Jednak kontynuował rozmowę, jak dobrze znany rytuał.



- Kochasz mnie? Poklepała go po ramieniu.

- Zajmij się swoimi obowiązkami, Rusty. Kiedy będę gotowa, pójdziemy gdzie tylko zechcesz.

- Do Chinatown?

- Ale wybij sobie z głowy żeberka w sosie słodko - kwaśnym. Wiesz, co mówił lekarz.

Usatysfakcjonowany Rusty podreptał z powrotem do swoich obowiązków, a ja nie mogłem oprzeć się pokusie zadania jej pytania, na które nie odpowiedziała.

- Kochasz go?

- Mówiłam ci już: każdego można pokochać. Poza tym Rusty miał parszywe dzieciństwo.

- To dlaczego nie chce dorosnąć?

- Rusz głową. Nie widzisz, że Rusty czuje się bezpieczniej w pieluchach niż w spódnicy? A to dla niego naprawdę najlepszy wybór, chociaż jest strasznie drażliwy na tym punkcie. Kiedyś próbował zadźgać mnie nożem od masła, bo poradziłam mu, żeby wydorosłał, ustatkował się i założył rodzinę z jakimś miłym, opiekuńczym kierowcą ciężarówki. Na razie muszę się nim zajmować. To nie takie złe, Rusty jest nieszkodliwy, wydaje mu się, że kobiety to lalki, dosłownie.

- Dzięki Bogu.

- Wcale bym mu nie dziękowała, gdyby wszyscy mężczyźni tak myśleli.

- Dzięki Bogu, że nie masz zamiaru za niego wychodzić. Holly uniosła brew.

- Nawiasem mówiąc, nie będę udawać, że nie wiem, jaki jest bogaty. A ziemia, nawet w Meksyku, kosztuje. Dobrze - dodała, popychając mnie w stronę gości. - Złapmy teraz O. J.'a.

Nie ruszyłem się z miejsca, próbując wymyślić coś, co by ją zatrzymało. Wreszcie wpadłem na pomysł.

- Dlaczego *W podróży*?

- Na mojej wizytówce? - spytała zdezorientowana. - Uważasz, że to zabawne?

- Nie zabawne, raczej prowokacyjne. Wzruszyła ramionami.

- A skąd mam wiedzieć, gdzie będę mieszkać jutro? Dlatego kazałam im napisać *W podróży*. Zresztą, te wizytówki to pieniądze wyrzucone w błoto. Ale czułam, że powinnam coś tam kupić. Są od Tiffany'ego. - Sięgnęła po moje martini, którego nawet nie tknąłem. Wypiła je dwoma haustami i wzięła mnie za rękę. - No, nie stój tu jak kołek. Masz się zaprzyjaźnić z O. J.'em.

Przeszkodziło nam zamieszanie przy drzwiach. Do mieszkania wpadła jak przeciąg młoda kobieta, powiewająca apaszkami i pobrzękująca biżuterią.

- H - H - Holly! - krzyknęła, kiwając palcem wskazującym. - T - t - ty wredna e - e - egoistko! Chcesz sama zgarnąć t - t - tych wszystkich p - p - przystojniaków?

Miała dobrze ponad sześć stóp i była wyższa od większości obecnych mężczyzn. Panowie natychmiast się wyprostowali i wciągnęli brzuchy: każdy starał się dorównać jej wzrostem.

- Co ty tu robisz? - zapytała Holly z ustami zaciśniętymi w linijkę.

- Nic takiego, z - z - złotko. Miałam na górze sesję z Yunioshim. Do świątecznego wydania *Ba - ba - zaaru*. Gniewasz się, z - z - złotko? - spytała z szerokim uśmiechem. - A w - w - wy chłopcy? Gniewacie się, że w - w - wpadłam na wasze p - p - przyjęcie?

Rusty Trawler zachichotał. Ścisnął ją za rękę, jakby podziwiał biceps, i zaproponował drinka.

- Bardzo chętnie - odparła. - Daj mi b - b - burbona.

- Nie ma burbona - oznajmiła Holly, na co pułkownik lotnictwa zaoferował, że pobiegnie do sklepu i kupi butelkę.

- O, nie róbcie sobie k - k - kłopotu. Wystarczy mi c - c - cola. Holly, złotko - zwróciła się do gospodyni, stukając jawnie ramię - nie przejmuj się mną ani trochę. Sama się wszystkim przedstawię.

Pochyliła się w stronę O. J. Bermiana, który jak większość niskich mężczyzn w obecności wysokich kobiet, miał na twarzy wyraz rozmarzenia.

- Jestem Mag W - w - wildwood z W - w - wildwood w Arkansas. Z krainy wzgórz.

Cała scena przypominała taniec, bo Berman wykonywał jakiś skomplikowany układ kroków, próbując nie dopuścić rywali do Mag. Szybko jednak stracił ją na rzecz kwartetu innych gości, pochłaniających jąkanie i dowcipy panny Wildwood niczym gołębnie popcorn. Mag święciła wyraźny tryumf dzięki swojej brzydocie, paradoksalnie bardziej pociągającej od urody. Zamiast skrzętnie zastosować metody maskowania niedostatków i starannego upiększania, podkreślała swoje wady, jawnie obnosząc defekty, czyniła z nich ozdobę. Chwiała się na wysokich obcasach akcentujących jej wzrost, obcisły gorset sugerował, że mogłaby iść na plażę w samych kąpielówkach, a spięte z tyłu włosy podkreślały charakterystyczną dla modelek chudość zagłodzonej twarzy. Nawet jąkanie - naturalne, choć nieco przesadzone - działało na jej korzyść.

Było właściwie majstersztykiem, bo nadawało posmak oryginalności wypowiedzianym przez Mag banałom i na przekór jej wzrostowi oraz pewności siebie wzbudzało w słuchaczach płci męskiej instynkt opiekuńczy. O. J. Berman na przykład tak się zasłuchał, że trzeba było go walnąć w plecy, kiedy Mag zapytała: „Czy ktoś może mi p - p - powiedzieć, gdzie jest k - k - kibel?”, a potem zaproponował, że ją tam zaprowadzi.

- To nie będzie konieczne - stwierdziła Holly. - Mag już tu była. Wie, gdzie jest.

Opróżniała popielniczki, a po wyjściu Mag opróżniła kolejną, potem powiedziała, czy raczej westchnęła:

- To naprawdę bardzo smutne - przerwała na chwilę, sprawdzając, w ilu oczach pojawi się ciekawość. Wynik zadowolił ją, więc kontynuowała - 1 takie zagadkowe. Można by się spodziewać, że będzie się bardziej rzucać w oczy. Ale przecież wygląda zdrowo. Tak... hmm, czysto. Nie sądzicie - zapytała z troską, rzucając pytanie w przestrzeń - nie sądzicie, że wygląda na zdrową?

Ktoś odkaslnął, parę osób głośno przełknęło ślinę. Oficer marynarki, który trzymał drinka Mag, odstawił go na półkę.

- Z drugiej strony - ciągnęła Holly - podobno wiele dziewcząt z Południa cierpi na tę samą przypadłość.

Wzdrygnęła się lekko i poszła do kuchni po lód.

Wróciwszy do pokoju, Mag nie potrafiła zrozumieć przyczyny nagłego ochłodzenia atmosfery wokół siebie. Rozmowy przypominały mokre kłody drewna; dymyły, ale ognia nie było. Co gorsza, ludzie zaczęli wychodzić, nie prosząc o jej numer telefonu. Pułkownik lotnictwa zdezerterował niepostrzeżenie, kiedy odwróciła się na moment - to była kropla, która przelała czarę goryczy: wcześniej zaprosił ją bo wiem na kolację. Gniew ją zaślepił, a ponieważ gin działa na wszelkie pozory tak, jak łyżę na tusz do rzęs, cała atrakcyjność panny Wildwood natychmiast znikła. Mag zaczęła wyżywać się na wszystkich. Zwymyślała gospodynię od degeneratów z Hollywood. Wyzwała na pojedynek pięćdziesięcioletniego mężczyznę. Powiedziała Bermanowi, że Hitler ma rację. Podnieciła Rusty'ego Trawlera, zapędzając go w kąt pokoju.

- Wiesz, co się z tobą stanie? - zapytała bez śladu jąkania. - Zaciągnę cię do zoo i rzucę na pożarcie jakom.

Rusty wyraźnie miał na to ochotę, ale czekało go rozczarowanie, ponieważ Mag osunęła się na podłogę i zaczęła coś nucić pod nosem.

- Straszna z ciebie nudziara. Wstawaj - zażądała Holly, naciągając rękawiczki.

Reszta gości czekała już w drzwiach. Nudziara ani drgnęła, więc Holly rzuciła mi błagalne spojrzenie. - Fred, będziesz aniołem? Zapakuj ją do taksówki. Mieszka w hotelu Winslow.

- Już nie. Barbizon, centrala Regent 4 - 5700. Proście Mag Wildwood.

- Fred, jesteś aniołem.

Wszyscy wyszli. Perspektywa umieszczenia amazonki w taksówce usunęła resztki urazy jaką czułem. Ale problem sam się rozwiązał. Mag z własnej inicjatywy stanęła na równe nogi i spojrzała w dół na mnie z chwiejną wyższością.

- Chodźmy do „Storka”. Może wylosujemy szczęśliwy balonik - powiedziała, po czym zwała się na podłogę jak ścięty dąb. W pierwszym odruchu chciałem pobiec po lekarza. Sprawdziłem jednak jej puls i oddech - były regularne. Mag po prostu zasnęła. Wetknąłem poduszkę pod jej głowę i zostawiłem samą, by mogła rozkoszować się drzemką.

Po południu następnego dnia wpadłem na Holly na schodach.

- Słuchaj - powiedziała, przechodząc koło mnie w pośpiechu, z pakunkiem z apteki. - Ona chyba dostanie zapalenia płuc. I ma kaca giganta. A do tego koszmarne doły.

Wywnioskowałem z tego, że Mag Wildwood nadal przebywa w jej mieszkaniu, ale nie miałem nawet czasu, żeby zapytać Holly o powody tego zaskakującego współczucia. Przez weekend wszystko zrobiło się jeszcze bardziej tajemnicze. Najpierw do moich drzwi zapukał przez pomyłkę jakiś Latynos poszukujący panny Wildwood. Wyprowadzanie go z błędu zajęło mi dłuższą chwilę, ponieważ nasze akcenty wydawały się być wzajemnie niespójne, lecz pod koniec rozmowy oczarował mnie zupełnie. Był to niezwykle dobrze zbudowany mężczyzna; brązowa głowa i ciało matadora tchnęły absolutną perfekcją jabłka, pomarańczy, wzoru doskonałości stworzonego przez Naturę. Do tego angielski garnitur i orzeźwiający zapach wody kolońskiej oraz, co jeszcze bardziej nietypowe u Latynosa, nieśmiałość. Drugie wydarzenie tego dnia także było z nim związane. Spotkałem go pod wieczór, w drodze do restauracji. Wysiadał właśnie z taksówki, a kierowca pomagał mu wnieść walizki do domu. Miałem teraz twardy orzech do zgryzienia; w niedzielę zaczęła mnie już boleć szczęka.

Potem obraz jednocześnie zaciemnił się i rozjaśnił.

Niedziela okazała się pięknym dniem babiego lata, słońce świeciło mocno i przez otwarte okno usłyszałem głosy na schodach pożarowych. Siedziały tam Holly i

Mag, wyciągnięte na kocu, między nimi leżał kot. Świeżo umyte włosy kobiet wisały w luźnych pasemkach. Obie były zajęte: Holly malowała paznokcie u nóg, a Mag robiła na drutach. W tej chwili właśnie mówiła:

- Moim zdaniem, masz sz - sz - szczęście. Czego by o nim nie powiedzieć, przynajmniej Rusty jest Amerykaninem.

- Faktycznie, jest się z czego cieszyć.

- Złotko, mamy wojnę.

- A jak się już skończy, więcej mnie tu nie zobaczycie.

- Ja tak nie uważam. Jestem d - d - dumna ze swojego kraju. Wszyscy mężczyźni z mojej rodziny byli wspaniałymi żołnierzami. W samym centrum Wildwood stoi pomnik dziadunia.

- Fred też jest żołnierzem - powiedziała Holly. - Ale raczej nie postawią mu pomnika. Chociaż, kto wie. Podobno im ktoś głupszy, tym odważniejszy. A Fred jest dość głupi.

- To ten chłopak, który mieszka piętro wyżej? Nie wiedziałam, że jest żołnierzem. Ale rzeczywiście wygląda na głupiego.

- Nie jest głupi, tylko za czymś tęskni. Strasznie chciałby wszystko obserwować z wewnątrz, a z nosem przyciśniętym do szyby każdy wygląda głupio. Ale mnie chodzi o innego Freda. O mojego brata.

- Nazywasz w - w - własnego brata g - g - głupkiem?

- No bo jest głupi.

- Ale nie powinno się tak mówić. Zwłaszcza o chłopcu, który walczy za ciebie, za mnie i za nas wszystkich.

- Co to? Wiec patriotyczny?

- Chcę tylko, żebyś wiedziała, co myślę. Lubię żarty, ale w głębi ducha jestem p

- p - poważną osobą. I czuję się dumna, że jestem Amerykanką. Dlatego tak mi żal Jose - odłożyła druty. - Jest strasznie przystojny, prawda?

Holly mruknęła coś niewyraźnie i przejechała pędzelkiem do lakieru po kocich wąsach.

- Ale nie mogę się jakoś oswoić z perspektywą w - w - wyjścia za mąż za Brazylijczyka. I bycia B - b - brazylijką. To przepaść. Sześć tysięcy mil, no i nie znam języka...

- Zapisz się do Berlitz.

- Naprawdę myślisz, że uczą tam p - p - portugalskiego? Przecież nikt nie mówi

po portugalsku. Nie, mogę tylko przekonać Jose, żeby zapomniał o polityce i został Amerykaninem. Przecież to bez sensu: być p - p - prezydentem Brazylii - westchnęła i wróciła do swojej robótki. - Chyba jestem szaleńczo zakochana. Widziałas nas razem. Myślisz, że jestem szaleńczo zakochana?

- No cóż. Gryzie?

Mag zgubiła oczko w ściegu.

- Gryzie?

- Czy gryzie ciebie? W łóżku.

- Ależ skąd. A powinien! - Dodała konfidencjonalnie - Ale się śmieje.

- To dobrze. O to właśnie chodzi. Lubię, jak facet widzi w tym coś zabawnego, większość z nich tylko sapie i dyszy.

Mag wycofała zastrzeżenie; przyjęła uwagę jako komplement dla siebie.

- Tak. Chyba masz rację.

- No dobrze. Nie gryzie. Śmieje się. Co jeszcze robi? Mag poprawiła zgubione oczko i zaczęła zawzięcie pracować drutami.

- Zapytałam...

- Słyszałam. I nawet chciałabym ci powiedzieć. Ale trudno to wszystko spamiętać. Ja nie m - m - myślę tak dużo o tych rzeczach. Nie tyle, co ty. Po prostu o nich zapominam, jak o snach. To chyba n - n - normalne.

- Może i normalne, skarbie, aleja wolę być naturalna - Holly przerwała na chwilę malowanie reszty kocich wąsów na czerwono. - Słuchaj, jeśli tak trudno ci to zapamiętać, to zostaw zapalone światła.

- Holly, zrozum mnie, proszę. Jestem bardzo - bardzo - bardzo staroświecka.

- Pieprzysz. Czemu nie miałabyś popatrzeć sobie na faceta, który ci się podoba? Mężczyźni bywają piękni, wielu z nich świetnie wygląda. Jose jest bardzo przystojny, a skoro ty nawet nie chcesz na niego popatrzeć, to hmmm... ma z ciebie taki pożytek, jak z wystygłego makaronu.

- M - m - mów ciszej.

- To niemożliwe, żebyś była w nim zakochana. I co? Czy to jest odpowiedź na twoje pytanie?

- Nie. Bo ja wcale nie jestem jak wystygły makaron. Mam w sobie dużo ciepła. Taki już mam charakter.

- W porządku. Masz w sobie dużo ciepła. Ale gdybym była facetem i szła do łóżka, to wzięłabym raczej termofor. Lepiej grzeje.

- Jose na pewno się nie skarży - powiedziała dumnie Mag, połyskując drutami w blasku słońca. - A ja jestem w nim zakochana. Wiesz, że przez ostatnie trzy miesiące zrobiłam na drutach dziesięć par ocieplaczy? A to już drugi sweter - rozciągnęła robótkę i odrzuciła ją na bok. - Ale właściwie po co? Swetry w Brazylii! Powinnam robić kapelusze p - p - przeciwsłoneczne.

Holly położyła się i ziewnęła.

- Przecież tam też kiedyś musi być zima.

- Wiem tylko, że pada. Upał. Deszcz. Dż - dż - dżungle.

- Upał. Dżungle. Wiesz, podoba mi się.

- Ty byś się bardziej do tego nadawała.

- To prawda - powiedziała Holly sennym, ale bardzo przytomnym tonem. - Ja bym się bardziej do tego nadawała.

W poniedziałek, kiedy zszedłem po poranną pocztę, zauważyłem, że na skrzynce Holly przybyło nowe nazwisko: panna Golightly i panna Wildwood podróżowały teraz razem. Może i przykułoby to moją uwagę na dłużej, gdyby nie list we własnej skrzynce. Przeszedł od redakcji małego uniwersyteckiego wydawnictwa, do którego kiedyś wysłałem opowiadanie. Spodobało im się i chcieli je opublikować. Nie byli jednak w stanie wypłacić mi żadnego honorarium. Opublikować. Czyli wydrukować. Bez żadnej przesady mogę powiedzieć, że byłem pijany ze szczęścia. Musiałem komuś o tym opowiedzieć, więc pomknąłem na górę, przeskakując po dwa stopnie na raz i załomotałem do drzwi Holly.

Bojąc się, że nie będę w stanie wydusić z siebie ani słowa, wcisnąłem jej po prostu list do ręki, kiedy z zaspanymi oczyma otwarła mi drzwi. Czytała go tak długo, jakby musiała przebrnąć przez sześćdziesiąt stron, wreszcie wręczyła mi list z powrotem.

- Na twoim miejscu bym się nie zgodziła, skoro nie zapłacą - stwierdziła, ziewając.

Z mojej twarzy wyczytała chyba, że nie przyszedłem po radę, tylko po gratulacje. Ziewnięcie ustąpiło miejsca uśmiechowi.

- A, rozumiem. Wspaniale. No to wejdz - powiedziała. - Zaparzymy kawę i uczymy to. Albo nie. Ubiorę się i zaproszę cię na lunch.

Jej sypialnia urządzona była w podobnym stylu co salon, panowała w niej identyczna atmosfera biwaku: pudła i walizki, wszystko spakowane i gotowe do wyjazdu, zupełnie jak rzeczy przestępcy czującego na karku oddech stróżów prawa. W

salonie nie było mebli jako takich, ale w sypialni znajdowało się łóżko i to podwójne, zwykowne: jasne drewno i pościel z marszczonego atlasu.

Holly nie zamknęła drzwi do łazienki i kontynuowaliśmy rozmowę przerywaną odgłosami splukiwania i szorowania. Większość z tego, co mówiła, trudno było zrozumieć, ale wyłapałem najważniejsze rzeczy: domyślała się, że wiem o przeprowadzce Mag - czyż to nie świetny układ? Skoro już trzeba mieć współlokatorkę, a ona nie jest lesbijką, to najlepiej żeby była kompletną idiotką, jak Mag, bo można wtedy zwalić na nią płacenie czynszu i posyłać po pranie.

Widać było, że dla Holly pranie stanowi poważny problem; jej mieszkanie, całe zarzucone ubraniami, wyglądało jak dziewczęca szatnia.

- ...a w dodatku jest znaną modelką, wiesz? Czy to nie fantastyczne? - dodała, kiedy wyszła z łazienki poprawiając podwiązkę. - Dzięki temu przez większość czasu będę ją miała z głowy. Z facetami też nie powinno być zbyt dużo problemów. Mag jest zaręczona. Fajny gość. Tylko że troszkę różnią się wzrostem: powiedziałabym stopa na jej korzyść. Gdzie, u diabła... - klęczała teraz przy łóżku, gorączkowo pod nim szperając. Znalazła to, czego szukała - parę czólenek z jaszczurczej skóry. Teraz musiała jeszcze znaleźć bluzkę i pasek. Ku mojemu najwyższemu zdumieniu, końcowy efekt tych chaotycznych zabiegów, był jednak olśniewający: stała przede mną odziana z nieskazitelną elegancją, wypieszczona, jakby stroiły ją służące Kleopatry.

- Słuchaj, powiedziała, biorąc mnie pod brodę. - Cieszę się, że cię wydrukują. Naprawdę.

Październikowy poranek 1943 roku. Piękny, radosny dzień, lekki jak ptak. Najpierw wpadliśmy na coś mocniejszego do baru Joe Bella, a kiedy ten usłyszał o moim sukcesie, postawił nam szampana. Potem ruszyliśmy w stronę Piątej Alei. Właśnie przechodziła tamtędy parada. Wydawało się, że powiewające na wietrze flagi, głośnie dźwięki orkiestr wojskowych i rytmiczny stukot wojskowych butów nie mają nic wspólnego z wojną, lecz są fanfarą na moją cześć.

Zjedliśmy lunch w restauracji w Central Parku, a potem, starannie omijając zoo (Holly oświadczyła, że nie zniesie widoku żywego stworzenia w klatce), pobiegliśmy roześmiani i rozśpiewani w stronę nieistniejącego już hangaru dla łódek. Na powierzchni stawu unosiły się liście, na brzegu stróż próbował rozpaścić ich stos; dym unosił się w górę jak sygnały puszczone przez Indian, jedyna smuga w czystym, drżącym powietrzu. Kwiecień nigdy nie miał dla mnie szczególnego znaczenia, to jesień wydawała mi się porą początku, prawdziwą wiosną; takie właśnie miałem



wrażenie, siedząc obok Holly na balustradzie ganku u wejścia do hangaru. Myślałem o przyszłości i mówiłem o przeszłości. Bo Holly chciała się dowiedzieć czegoś o moim dzieciństwie. Opowiadała też o swoim, ale było w jej opowieści coś nieuchwytnego, bezimiennego, niekonkretnego - brzmiało to jak impresjonistyczny recital, chociaż wrażenie, jakie odniosłem, było zupełnie odmienne od oczekiwanego. Zdała mi niemal zmysłową relację o pływaniu w lecie, choinkach, ślicznych kuzynkach i wspólnych zabawach, krótko mówiąc, obraz szczęścia, a przecież Holly nie była szczęśliwa, a już z pewnością nie było to dzieciństwo kogoś, kto uciekł z domu. A może to nieprawda, że uciekła z domu jako czternastolatka? Zapytana, Holly potarła nos i odpowiedziała:

- To akurat jest prawda. Tamte historie zmyśliłam. Ale ty, złotko, przedstawiłeś mi swoje dzieciństwo w tak tragicznych barwach, że nie chciałam z tobą rywalizować. - Zeskoczyła z balustrady. - Właśnie! Przypomniałam sobie, że muszę wysłać Fredowi trochę masła orzechowego.

Przez resztę popołudnia wędrowaliśmy po mieście, próbując wyciągnąć od niechętnych sprzedawców ten deficytowy z racji wojny przysmak. Zapadł już zmierzch, gdy udało nam się zgromadzić z pół tuzina słoików; ostatni nabyliśmy w delikatesach na Trzeciej Alei, tuż koło sklepu z antykami, na wystawie którego pyszniła się wspaniała klatka dla ptaków. Zrozumiała mój zachwyt i rozmarzenie.

- Ale i tak to tylko klatka - powiedziała. Przechodząc koło sklepu „Tysiąc jeden drobiazgów” w budynku Woolwortha<sup>1</sup> [<sup>1</sup> Woolworth's Building - jeden z najslynniejszych budynków w Nowym Jorku, zbudowany w 1913 roku na zamówienie Franka Woodfielda Woolwortha, właściciela sieci domów towarowych. Reprezentuje styl neogotycki. W czasie wojny był jednym z najwyższych budynków na świecie (241,2m).], Holly chwyciła mnie za rękę.

- Zwińmy coś! - zaproponowała, wciągając mnie do środka. Natychmiast poczułem na sobie spojrzenie wielu par podejrzliwych oczu. - No, dalej! Nie bądź tchórzem.

Poszła na zwiady ku ladzie zastawionej papierowymi dyniami i maskami na Halloween. Sprzedawczyni była zajęta obsługiwaniem grupy zakonnic przymierzających maski. Holly wzięła jedną ze stosu i założyła, potem wybrała kolejną i założyła ją na moją twarz, na koniec chwyciła mnie za rękę i wyszliśmy ze sklepu. Nic prostszego. Za drzwiami, puściliśmy się biegiem przed siebie, chyba po to, żeby całemu wydarzeniu dodać trochę dramaturgii, a po części dlatego, że udana kradzież

zdaje się dodawać skrzydeł. Zastanawiałem się, czy Holly często kradnie.

- Kiedyś tak - odpowiedziała. - To znaczy, musiałam. Kiedy czegoś potrzebowałam. Ale teraz też co jakiś czas coś zwijam, żeby nie wyjść z wprawy.

Przez całą drogę do domu mieliśmy maski na twarzach.

Pamiętam, że tamtej jesieni Holly i ja spędziliśmy razem wiele czasu; rzeczywiście, widywaliśmy się przy najróżniejszych dziwnych okazjach, ale pamięć chyba jednak mnie zawodzi. Pod koniec miesiąca znalazłem pracę, właściwie nie ma o czym mówić, po prostu była to konieczność, która wypełniała mi czas od dziewiątej do siedemnastej. W efekcie nasze rozkłady zajęć całkowicie się rozmięły.

Nie licząc czwartków, czyli wizyt w Sing Sing oraz przejazdów konnych po parku, Holly zazwyczaj jeszcze spała, kiedy wracałem do domu. Czasami zaglądałem do niej i razem wypijaliśmy kawę na dzień dobry, podczas gdy ona ubierała się do wieczornego wyjścia. Wychodziła codziennie i zazwyczaj, choć nie zawsze, towarzyszył jej Rusty Trawler. Często też dołączała do nich Mag Wildwood oraz ów przystojny Brazylijczyk o nazwisku Jose Ybarra - Jaegar (jego matka była Niemką). Wszyscy razem byli wyjątkowo niezgrani jako kwartet, głównie z winy Ybarry - Jaegara, który pasował do nich jak skrzypce do zespołu jazzowego. Był inteligentny, elegancki i najwyraźniej bardzo poważnie traktował swoją pracę - dość ważną, mającą niejasne związki z rządem, wymagającą wyjazdów do Waszyngtonu na kilka dni w tygodniu. Jakim cudem mógł więc spędzać noc za nocą w klubach La Rue, czy El Morocco, wysłuchując j - j - jkania panny Wildwood i oglądając pyzată jak pupa niemowlaka twarzyczkę Rusty'ego? Być może, podobnie jak większość z nas za granicą, miał problemy z właściwą interpretacją zachowania miejscowych, przypisaniem ich do konkretnej kategorii, tak jak zrobiłby to u siebie. Być może dlatego wszystkich Amerykanów traktował równo, w związku z czym jego towarzysze wydawali się znośnymi przykładami lokalnego kolorytu i narodowego charakteru. To mogło wiele wyjaśnić, reszty dopełniała determinacja Holly.

Któregoś popołudnia, czekając na autobus jadący w stronę Pierwszej Alei, zauważyłem taksówkę zatrzymującą się po drugiej stronie ulicy, żeby wypuścić ze swego wnętrza dziewczynę, która wbiegła po schodach do biblioteki publicznej przy Czterdziestej Drugiej ulicy. Rozpoznałem ją dopiero wtedy, kiedy znikła za drzwiami i nic dziwnego, bo Holly raczej nie kojarzyła się z bibliotekami. Wiedziony ciekawością podążyłem jej śladem między kamiennymi posągami lwów, zastanawiając się po drodze, czy powinienem przyznać, że za nią szedłem, czy też udawać, że to zbieg

okoliczności.

W końcu nie zrobiłem żadnej z tych rzeczy, tylko przyczałem się kilka stolików od niej w głównej czytelnicy, gdzie siedziała ukryta za ciemnymi okularami i bastionem książek ustawionych na biurku. Co chwilę zerknęła do innej lektury, od czasu do czasu zatrzymywała się na jakiejś stronie, zawsze ze zmarszczonymi brwiami, jakby musiała czytać druk do góry nogami. Ołówek trzymała wycelowany w kartkę. Wydawało się, że nic nie przykuwa szczególnie jej uwagi, ale od czasu do czasu, jakby od niechcienia, mozolnie coś bazgrała. Obserwując Holly, przypomniałem sobie dziewczynę, którą znałem w szkole, straszną kujonkę, Mildred Grossman. Mildred miała przepocone włosy i zatłuszczone okulary, poplamionymi atramentem palcami robiła sekcje żab, nosiła kawę na pikiety, beznamiętnymi oczyma patrzyła w gwiazdy tylko po to, by obliczyć ich skład chemiczny. Holly i Mildred różniły się od siebie jak ogień i woda, a jednak w moich oczach zyskały nagle bliźniacze podobieństwo, a myśl, która zszyła je razem, biegła mniej więcej tak: osobowość przeciętnego człowieka często się zmienia, co kilka lat nawet nasze ciała przechodzą kapitalny remont. Czy tego chcemy, czy nie, podlegamy naturalnemu procesowi zmian.

Poznałem jednak dwie osoby, które nigdy się nie zmieniają. To właśnie łączyło Mildred Grossman i Holly Golightly. One nigdy się nie zmieniają, ponieważ zbyt wcześnie otrzymały swoją osobowość i podobnie jak ludzie, którzy wzbogacili się nagle i niespodziewanie, zatraciły wyczucie proporcji - jedna została zaprzysięgłą realistką, twardo stającą po ziemi, druga - nieuleczalną, zwariowaną romantyczką. Wyobraziłem je sobie w restauracji: Mildred studiuje menu pod kątem wartości odżywczych, a Holly ma ochotę spróbować absolutnie wszystkiego. I tak już zostanie. Przejdą przez życie i wyjdą z niego tym samym pewnym krokiem, nie zwracając uwagi na przepaść po lewej stronie.

Zatopiony w głębokich przemyśleniach, zapomniałem gdzie jestem. Oprzytomniałem dopiero po chwili, by ze zdumieniem zauważyć, że siedzę w bibliotecznym mroku. Niezmiernie zdziwiłem się na widok Holly. Było już po siódmej, a ona poprawiała makijaż i fryzurę - to, co dobrze się prezentowało wśród książek, nie wystarczało, by zrobić wrażenie w modnym klubie. Po jej wyjściu podszedłem do stołu, przy którym siedziała i rzuciłem okiem na pozostawione książki; właśnie tego się spodziewałem. *Przewodnik po Ameryce Południowej. Bezdroża Brazylii. Polityka Ameryki Łacińskiej*. I tym podobne.

W wigilię Bożego Narodzenia Holly i Mag wydały przyjęcie. Holly poprosiła

mnie o pomoc przy ubieraniu choinki. Pojęcia nie mam, jak udało im się wcisnąć ją do mieszkania. Górne gałęzie gięły się pod sufitem, dolne wypełniały cały pokój, razem wzięwszy drzewko przypominało gigantyczną choinkę na Rockefeller Plaza. Przydałby się też sam Rockefeller, żeby ubrać tego olbrzyma, który pochłaniał bańki i anielskie włosy jak topniejący śnieg. Holly zaproponowała, że pobiegnie do Woolwortha i ukradnie kilka baloników. Tak też zrobiła, dzięki czemu drzewko nabrało imponującego wyglądu. Wznieśliśmy toast za nasze dzieło, a Holly powiedziała:

- Idź do sypialni. Jest tam dla ciebie prezent.

Ja też miałem coś dla niej: małą paczuszkę w kieszeni, która wydała mi się jeszcze mniejsza, kiedy zobaczyłem na łóżku piękną klatkę dla ptaków, przewiazaną czerwoną wstążką.

- Ależ Holly! To straszne!

- Pewnie, że straszne, ale wydawało mi się, że chciałeś ją mieć.

- Chodzi mi o cenę! Trzysta pięćdziesiąt dolarów!

- Kilka nadprogramowych wycieczek do toalety. - Wzruszyła ramionami. - Ale musisz mi coś obiecać. Nigdy nie zamkniesz w niej żadnego żywego stworzenia.

Chciałem ją ucałować, ale wyciągnęła rękę.

- Dawaj mój prezent! - zażądała, klepiąc mnie po kieszeni z paczuszką.

- To tylko drobiazg. - 1 rzeczywiście; medalik ze świętym Krzysztofem. Ale przynajmniej kupiony u Tiffany'ego.

Holly nie należała do osób, które mogły cokolwiek zatrzymać na dłużej i na pewno zgubiła już ten medalik w walizce, albo w hotelowej szufladzie. A ja ciągle mam klatkę dla ptaków. Taszczyłem ją z sobą do Nowego Orleanu i do Nantucket, zjeździłem z nią całą Europę, Maroko i Amerykę Środkową. Rzadko jednak wspominam, że dostałem ją od Holly, ponieważ w pewnym momencie postanowiłem o tym zapomnieć. Było to po naszej wielkiej kłótni. W oku cyklonu znalazła się właśnie klatka, O. J. Berman i moje opowiadanie, które dałem Holly, kiedy wydano je drukiem w uniwersyteckim magazynie.

W lutym Holly pojechała z Rustym, Mag i Jose Ybarrą - Jaegarem na zimowe wakacje. Pokłóciliśmy się zaraz po jej powrocie. Była brązowa jak jodyna, a jej włosy zupełnie wybielały na słońcu. Świetnie się bawiła.

- Najpierw poleciliśmy na Key West i Rusty wściekł się na jakichś marynarzy... a może to oni wściekli się na niego? W każdym razie do końca życia będzie musiał nosić gorset.

Nasza droga Mag też wylądowała w szpitalu. Poparzenie słoneczne pierwszego stopnia. Coś obrzydliwego - cała była w pęcherzach i maści glicerynowej. Nie mogliśmy znieść jej zapachu. Więc Jose i ja zostawiliśmy ich w szpitalu i poleciliśmy do Hawany. Jose mówił, żebym poczekała, aż zobaczę Rio, ale mnie tam wystarczyła Hawana. Mieliśmy fantastycznego przewodnika, Murzyna chińskiego pochodzenia i chociaż nie przepadam ani za Murzynami, ani za Azjatami, ta mieszanka była powalająca, więc pozwoliłam, żeby podszczypywał mnie pod stołem. Był taki niebanalny! A potem zaprowadził nas do kina porno i zgadnij, co? Zobaczyłam go na ekranie. Naturalnie, kiedy już wróciliśmy do Key West, Mag była święcie przekonana, że spałam z Jose. Rusty też tak myślał, ale jego to zupełnie nie obchodzi, chce tylko usłyszeć szczegóły. Sytuacja była dość napięta, dopóki nie porozmawiałam sobie szczerze z Mag.

Byliśmy w salonie, w którym, mimo że był już prawie marzec, większość miejsca nadal zajmowała ogromna choinka, zbrązowiała i bez zapachu, z balonikami skurczonymi i pomarszczonymi jak stare krowie placki. W pokoju pojawiło się coś, co można było sklasyfikować jako mebel - wojskowa prycza, na której pod lampą kwarcową rozłożyła się Holly, starając się zachować wygląd rodem z tropików.

- I przekonałaś ją?

- Że nie spałam z Jose? No jasne. Powiedziałam jej po prostu - ale postarałam się, żeby zabrzmiało to jak bolesne wyznanie - że jestem lesbijką.

- Niemożliwe, żeby ci uwierzyła.

- Akurat! A niby czemu kupiła to składane łóżko? Spokojna głowa, jestem mistrzynią świata w zaskakiwaniu ludzi. Skarbie, bądź tak dobry i wetrzyj mi trochę olejku w plecy.

Kiedy spełniałem jej prośbę, zmieniła temat.

- Wiesz, O. J. Berman jest w mieście i dałam mu do przeczytania twoje opowiadanie z magazynu. Był pod wrażeniem. Myśli, że może warto ci pomóc. Ale twierdzi, że idziesz złym tropem. Murzyni i dzieci: kogo to obchodzi?

- Rozumiem, że nie pana Bermana.

- Zgadza się z nim. Czytałam to opowiadanie dwa razy. Bachory i kolorowi. Drżące liście. *Opisy*. Przecież to nic nie znaczy.

Miałem wrażenie, że moja dłoń, wcierająca jej olejek w plecy, otrzymała własną wolę: zapragnęła podnieść się i trzepnąć Holly w pośladki.

- Podaj mi przykład - powiedziałem cicho - czegoś, co ma znaczenie. Twoim

zdaniem.

- „Wichrowe wzgórza” - powiedziała bez wahania. Moja ręka wymykała się spod kontroli.

- Daj spokój. Mówisz o arcydziele.

- Wspaniałe, prawda? „O, moja dzika, słodka Cathy”. Boże, ryczałam jak bóbr. Widziałam to dziesięć razy.

- Aha! - odetchnąłem z wyraźną ulgą i dodałem ironicznie - Mówisz o filmie.

Napięła mięśnie. Teraz czułem się, jakbym miał pod dłonią rozgrzany słońcem kamień.

- Miło jest uważać się za lepszego od innych - zauważyła.

- Ale wypadaloby najpierw udowodnić, że ma się ku temu jakieś podstawy.

- Nie porównuję się z tobą. Ani z Bermanem. Zatem nie uważam się za lepszego. Pragniemy odmiennych rzeczy.

- Nie chcesz zarabiać pieniędzy?

- Nie myślę z takim wyprzedzeniem.

- Co widać w twoich opowiadaniach. Jakbyś je pisał i nie miał pojęcia, jak się skończą. Coś ci powiem: lepiej zacznij zarabiać. Masz kosztowną wyobraźnię. Niewielu ludzi będzie ci kupować klatki dla ptaków.

- Przykro mi.

- Będzie ci jeszcze bardziej przykro, jak mnie uderzysz. Chciałeś to zrobić przed momentem i czuję, że znowu masz na to ochotę.

Miałem ogromną ochotę: serce mi waliło, a dłoń trzęsła się, gdy zakręcałem buteleczkę z olejkami.

- Nie, wcale bym tego nie żałował. Szkoda tylko, że zmarnowałaś na mnie pieniądze; Rusty Trawler to ciężki kawałek chleba.

Usiadła wyprostowana na łóżku. Lampa kwarcowa rzucała chłodną niebieską poświatę na jej twarz i nagie piersi.

- Potrzeba mniej więcej czterech sekund, żeby dojść do drzwi. Ja daję ci dwie.

Wróciłem do siebie, wziąłem klatkę dla ptaków, zniosłem ją na dół i postawiłem przed jej drzwiami. I po sprawie. Tak mi się przynajmniej wydawało, do następnego ranka, kiedy w drodze do pracy zobaczyłem klatkę stojącą na kubie na śmieci, czekającą na śmieciarzy. Czując się jak głupek, uratowałem ją i zniosłem z powrotem do pokoju. Ta kapitulacja nie oznaczała bynajmniej, że odstąpiłem od postanowienia, żeby raz na zawsze wykreślić Holly z mojego życia. Stwierdziłem, że

jest „wulgarną, pretensjonalną ekshibicjonistką”, na którą „szkoda czasu”, „oszustką” i obiecałem sobie, że nigdy więcej się do niej nie odezwę.

No i nie odzywałem się. Dość długo. Mijając się na schodach, spuszczałem wzrok. Gdy tylko wchodziła do baru Joe Bella, ja wychodziłem. Pewnego dnia Madame Saphia Spanella, Mulatka i entuzjastka jazdy na wrotkach z pierwszego piętra, zaczęła zbierać wśród mieszkańców kamienicy podpisy pod petycją domagającą się eksmitowania panny Golightly. Madame Spanella miała do niej „zastrzeżenia natury moralnej” i uważała, że „częste nocne imprezy zagrażają bezpieczeństwu oraz psychicznemu zdrowiu mieszkańców”. Nie podpisałem petycji, choć w głębi ducha przyznałem Madame rację. Akcja zakończyła się niepowodzeniem i pod koniec kwietnia każdej ciepłej nocy z mieszkania numer 2 dobiegały odgłosy imprez, głośna muzyka gramofonowa i śmiech wywołany przez martini.

Wśród gości nie brakowało podejrzanych typów, wręcz przeciwnie. Mimo to wchodząc do domu pewnego wiosennego dnia zauważyłem, że bardzo dziwny jegomość przygląda się jej skrzynce na listy. Był to pięćdziesięcioparoletni mężczyzna o twardych rysach, ogorzalej cerze i smutnych szarych oczach. Miał na sobie stary przepocony kapelusz i tani letni garnitur w kolorze bładoniebieskim, o wiele za duży na jego szczupłą posturę. Brązowe buty były natomiast nowiuteńkie. Mężczyzna najwyraźniej nie miał zamiaru dzwonić do Holly. Przesuwał tylko powoli palcem po wytłaczanych literach jej nazwiska, jak gdyby odczytywał pismo Braille’a.

Wieczorem, w drodze na kolację, znów go zauważyłem. Stał po drugiej stronie ulicy, oparty o drzewo i wpatrzony w okna Holly. Przez głowę przemknęły mi złowieszcze podejrzenia. Detektyw? A może jakaś postać z półświatka, powiązana z Sallym Tomato, przyjacielem z Sing Sing? Nowa sytuacja wskrzesiła we mnie czulsze uczucia względem Holly - należało na jakiś czas zawiesić animozje na kołku i ostrzec ją, że jest śledzona. Skręcając na wschód, w stronę baru szybkiej obsługi na rogu Siedemdziesiątej Dziewiątej i Madison, poczułem, że mężczyzna zainteresował się teraz mną. Nie musiałem nawet odwracać głowy, by upewnić się, że podąża moim tropem. Słyszałem bowiem jego gwizdanie. Nie była to jakaś zwykła melodyjka, lecz tęskna piosenka rodem z prerii, którą Holly czasami grała na gitarze: *Nie chcę spać, nie chcę umierać, tylko wędrować po pastwiskach nieba*. Gwizdanie towarzyszyło mi przez całą Park Avenue i wzdłuż Madison. Czekaając na zmianę świateł na przejściu, kątem oka zauważyłem, że mężczyzna pochylił się, by pogłaskać wynędzniałego szpica. „Masz pan tu ładnego psiaka”, zwrócił się do właściciela ochryplym głosem,

przeciągając sylaby, jak przybysz z prowincji.

W „Hamburg Heaven” było pusto. Mimo to przy długiej ladzie wybrał miejsce tuż koło mnie. Czuć go było tytoniem i potem. Zamówił filiżankę kawy, ale nawet jej nie tknął. Gryzł tylko wykałaczkę i przyglądał się mojemu odbiciu w lustrze naprzeciwko.

- Przepraszam - zwróciłem się do niego za pośrednictwem lustra. - Czego pan ode mnie chce?

Pytanie nie zbiło go z tropu, sprawiło mu raczej ulgę.

- Synu - rzekł - potrzebuję kogoś zaufanego.

Wyciągnął portfel wytarty jak jego szorstkie ręce i bardzo zniszczony. Podobnie wyglądało kruche, pomięte, nieostre zdjęcie, które mi podał. Ujrzałem na nim siedem osób ustawionych na schodach rozpadającego się ganku przed prostym, drewnianym domem. Same dzieci, nie licząc mojego nowego znajomego, który obejmował pulchną blondynkę osłaniającą oczy przed słońcem.

- To ja - wyjaśnił, wskazując na siebie. - To ona... - stuknął palcem w pulchną dziewczynkę. - A ten tutaj... - dodał, kierując palec na wysokiego chudzielca o płowej czuprynie - to jej brat, Fred.

Spojrzałem jeszcze raz na „dziewczynkę” i rzeczywiście dostrzegłem pewne, głęboko ukryte, podobieństwo między Holly, a tym pyzaty, mrużącym oczy dzieckiem. Równocześnie zdałem sobie sprawę, z kim rozmawiam.

- Więc jest pan ojcem Holly. Mrugnął, potem zmarszczył brwi.

- Nie ma na imię Holly. Nazywała się Lulamae Barnes. Dopóki - dodał, obracając wykałaczkę w ustach - za mnie nie wyszła. Jestem jej mężem. Doc Golightly, lekarz od koni i od innych zwierząt. Mam też farmę koło Tulip w Texasie. Synu, z czego się śmiejesz?

To nie był prawdziwy śmiech, tylko nerwy. Pociągnąłem łyk wody i zakrztusiłem się, więc on huknął mnie w plecy.

- Nie ma się z czego śmiać, synu. Jestem pólżywy. Pięć lat będzie jak szukam żony. Przyszedł list od Freda z jej adresem, to od razu kupiłem bilet na autobus. Lulamae powinna być w domu, z mężem i z dzieciarni.

- Dzieciarni?

- To one są, jej dzieci - powiedział, podnosząc głos. Chodziło mu o pozostałą czwórkę młodych twarzy na zdjęciu: dwie bosc dziewczynki i dwóch chłopców w dżinsowych spodniach - ogrodnikach. Bez dwóch zdań, facet jest niespełna rozumu.



- Ale Holly nie może być ich matką. Są starsze od niej. Większe.

- Posłuchaj, synu - zaczął tłumaczyć - nie mówię przecież, że je urodziła. Ich matka, złota kobieta, niech spoczywa w pokoju, zmarła w samo Święto Niepodległości, czwartego lipca trzydziestego szóstego roku. Tamtego lata była straszna susza. Kiedy się żeniłem z Lulamae, w grudniu trzydziestego ósmego, miała prawie czternaście lat. Zwykle, jak kto ma czternaście lat, to jeszcze sam nie wie, czego chce. Ale Lulamae to wyjątkowa kobieta. Dobrze wiedziała, co robi, kiedy obiecała, że za mnie wyjdzie i będzie matką moich dzieci. Tak nam wszystkim złamała serca, kiedy uciekła z domu - napił się zimnej kawy i spojrzał na mnie pytająco z rozbijającą szczerością. - Synu, wierzysz mi teraz? Wierzysz mi, że tak było?

Wierzyłem. Cała historia była zbyt nieprawdopodobna, by mogła okazać się kłamstwem, a poza tym pasowała do opisu Holly podanego mi przez O. J. Bermana: „Otworzyła usta i zaczęła zasuwając jakąś wsiową gwarą. Z Apalachów, czy z Oklahomy? Pojęcia nie mam”. Trudno się dziwić Bermanowi, jak miał się domyślić, że ma do czynienia z młodziutką mężatką z Tulip w Teksasie?

- Tak nam wszystkim złamała serca, kiedy uciekła z domu - powtórzył doktor. - Nie miała powodu, żeby uciekać. Wszystko w domu robiły córki. Lulamae mogła odpoczywać, oglądać się w lustrze i myć włosy. Mamy swoje krowy, swój ogród, kury, świnię; synu, utuczyła się jak pączek w maśle. A jej brat wyrósł na drągala. Całkiem inaczej wyglądali, jak do nas trafili. Nellie, moja najstarsza, ich przyłapała. Przychodzi do mnie kiedyś rano i mówi: „Tatku, w kuchni zamknęłam dwoje dzieci. Złapałam je na polu, jak kradli nam mleko i jajka indyków”. To byli Lulamae i Fred. Pewnie nigdy nie widział takich nieboraków. Aż im żebra sterczały, na nogach ledwo stali, zęby im się chwiały, nie mogli przełknąć nawet papki. Powiedzieli, co się stało: ich matka zmarła na gruźlicę, ojciec też i wszystkie dzieciaki - całe stadko - rozesłali po różnych wrednych ludziach. Lulamae i Fred mieszkali u strasznej hołoty, ze sto mil na wschód od Tulip. Nie dziwota, że uciekli. Ale od nas nie miała po co uciekać. To był jej dom. - Oparł łokcie na ładzie i westchnął, przyciskając dłonie do twarzy. - Wyrosła na ładną kobietkę. I taką wesołą. Szczebotała jak ptaszek. Zawsze miała coś ciekawego do powiedzenia: lepsza niż radio. I nagle patrzę, a tu zrywam dla niej kwiaty. Oswoiłem kruka i wytresowałem, żeby powtarzał: „Lulamae”. Pokazałem jej, jak się gra na gitarze. Com na nią spojrzał, zaraz miałem łzy w oczach. Oświadczałem się, tom płakał jak dziecko. Mówi do mnie: „Czemu płaczesz, Doc? Jasne, że za ciebie wyjdę. Nigdy jeszcze nie byłam mężatką”. Nigdy jeszcze nie była mężatką! Tak mnie

wzruszyła, że aż musiałem ją uściskać - zaśmiał się i przez chwilę ogryzał wykałaczkę. - Nikt mi nie wmówi, że nie była szczęśliwa! - powiedział wyzywająco. - Wszyscyśmy za nią przepadali. Palcem nie musiała kiwnąć, chyba żeby zjeść placka. Chyba żeby czesać włosy i zamawiać te wszystkie gazety. Chyba ze setkę dolarów na nie wydała. I tak się zaczęło. Przez te piśmidła. Zdjęcia z wielkiego świata. Czytanie o marzeniach. Dlatego zaczęła wychodzić z domu. Codziennie szła kawałek dalej: milę i wracała do domu. Dwie mile i wracała do domu. Aż któregoś dnia poszła przed siebie. - Znów zakrył oczy dłońmi i głos mu się załamał. - Ten kruk, com go dla niej złapał, zdziczał i uciekł. Całe lato go było słychać. Na podwórzu. W ogrodzie. W lesie. Całe lato ten cholerny ptak wołał: „Lulamae! Lulamae!”

Przygarbił się i siedział w milczeniu, jakby wsłuchany w ten letni dźwięk z przeszłości. Zanim przyniosłem nasze rachunki do kasy. Stał koło mnie, kiedy płaciłem. Razem wyszliśmy z baru i ruszyliśmy w stronę Park Avenue. Wieczór był chłodny, markizy sklepowe łopotały unoszone wiatrem. Milczeliśmy, dopóki nie zadałem mu pytania:

- A co z jej bratem? Nie wyjechał?

- A skąd! - odkaslnął. - Fred został z nami, aż wzięli go do armii. Dobry chłopak. Ma rękę do koni. Nie miał pojęcia, co ją napadło, czemu zostawiła brata, męża i dzieci. Ale jak już poszedł do wojska, Lulamae zaczęła do niego pisać. Niedawno przysłał mi jej adres. No tom po nią przyjechał. Wiem, że żałuje tego, co zrobiła. I chce wrócić do domu. - Brzmiało to tak, jakby chciał, żebym mu przytaknął. Powiedziałem, że Holly, czy też Lulamae chyba trochę się zmieniła od tamtego czasu. - Posłuchaj, synu. - zwrócił się do mnie kiedy dochodziliśmy do kamienicy. - Mówiłem ci, że potrzebuję kogoś zaufanego. Bo nie chcę jej zaskoczyć. Ani wystraszyć. Dlatego czekałem. Pomóż mi. Powiedz jej, że tu jestem.

Perspektywa przedstawienia pani Golightly jej mężowi wydawała się kusząca. Spodobała mi się jeszcze bardziej, kiedy spojrzawszy w okna Holly, zobaczyłem w nich światła i wyobraziłem sobie, jak Teksąńczyk zapoznaje się z Mag, Rustym i Jose. Jednak na myśl o dumnych, szczerych oczach Doca i jego przepoconym kapeluszu, poczułem wyrzuty sumienia. Wszedł za mną do budynku i stanął u stóp schodów.

- Dobrze wyglądam? - zapytał szeptem, strzepując pyłki z rękawów i poprawiając krawat.

Holly nie miała gości. Natychmiast otwarła mi drzwi, widać było, że sama zaraz wychodzi. Białe atlasowe pantofelki i ilość perfum sugerowały wypad na tańce.

- No, wreszcie, ty głupku! - powiedziała i żartobliwie uderzyła mnie torebką. - Muszę pędzić i nie mam czasu, żeby się godzić. Fajkę pokoju wypalimy jutro, dobrze?

- Dobrze, Lulamae. Jeżeli jeszcze tu będziesz.

Zdjęła okulary i rzuciła mi szybkie spojrzenie. Jej oczy wyglądały jak roztrzaskane pryzmaty, niebieskie, szare i zielone punkciki, niczym lśniąca kawałki rozbitego szkła.

- On ci powiedział - wyszeptała drżącym głosem. - Proszę, powiedz mi, gdzie jest! - Minęła mnie i wybiegła na korytarz. - Fred! - zawołała w dół klatki schodowej. - Fred! Gdzie jesteś, najdroższy?

Usłyszałem na schodach kroki doktora Golightly. Po chwili jego głowa pojawiła się nad poręczą, a Holly odskoczyła w tył, nie ze strachu, ale jakby chowając się w pancerzu rozczarowania. Doc stanął jak wryty tuż przed nią, spłoszony i onieśmielony.

- Słodki Jezu, Lulamae - zaczął i urwał, bo Holly patrzyła na niego pustym wzrokiem, jakby go nie poznawała. - Maleńka, nie karmią cię tutaj? Taka jesteś chudziutka. Jak wtedy, kiedym cię pierwszy raz zobaczył. Jak dzikie zwierzątko.

Holly dotknęła jego twarzy, palcami sprawdzając, czy podbródek pokryty kilkudniowym zarostem jest prawdziwy.

- Cześć, Doc - powiedziała miękko i ucałowała go w policzek. - Cześć, Doc - powtórzyła radośnie, kiedy porwał ją w ramiona i uściskał ze wszystkich sił. Opadło z niego napięcie i całym ciałem wstrząsnęły spazmy śmiechu.

- Słodki Jezu, Lulamae. Dzięki Bogu!

Żadne z nich nie zauważyło nawet, kiedy przeszedłem obok nich i wróciłem do siebie. Nie zwrócili też najmniejszej uwagi na Madame Saphię Spanellę, która otwierała drzwi od swojego mieszkania i wrzasnęła:

- Cicho tam! Co za bezwstydnica! Idź się kurwić gdzie indziej!

- Rozwód? Nie było żadnego rozwodu. Na miłość boską, miałam dopiero czternaście lat. To nie mogło być legalne. - Holly postukała wymownie w pusty kieliszek. - Jeszcze dwa martini, kochany panie Bell.

Joe Bell, bo to w jego barze siedzieliśmy, niechętnie przyjął zamówienie.

- Wcześniej dziś zaczynasz - skrzywił się, pogryzając tabletkę na żołądek. Według czarnego mahoniowego zegara stojącego za barem, nie minęło jeszcze południe, a on podał nam już trzy kolejki.

- Ale dziś jest niedziela, panie Bell. W niedzielę zegary się spóźniają. Poza tym

nie kładłam się jeszcze do łóżka - odpowiedziała mu, po czym zwróciła się do mnie - To znaczy, byłam w łóżku, ale nie spałam. - Zarumieniła się i spojrzała w bok z poczuciem winy. Po raz pierwszy odkąd się poznaliśmy, uznała za stosowne, by usprawiedliwić swoje zachowanie. - Przecież musiałam. Widzisz, Doc naprawdę mnie kocha.

A ja jego. Tobie pewnie wydaje się stary i niechlujny, ale nie masz pojęcia, jaki jest kochany i opiekuńczy dla ptaków i dzieci, i innych delikatnych stworzeń. Kiedy ktoś daje ci wiarę w siebie, pozostaje się jego dłużnikiem. Zawsze pamiętałam, żeby się za niego modlić. Przestań się tak uśmiechać! - zażądała, gasząc papierosa. - Naprawdę odmawiam modlitwy.

- Nie uśmiecham się tak. Uśmiecham się po prostu. Jesteś niesamowita.

- Chyba tak - zgodziła się, a jej twarz, blada i znużona w świetle poranka, nagle pojaśniała. Holly przyglądała rozwichrzone włosy, które załśniły, jak w reklamie szamponu. - Na pewno wyglądam upiornie. Nic dziwnego. Resztę nocy spędziliśmy na dworcu autobusowym. Aż do ostatniej chwili Doc myślał, że z nim pojedę, chociaż mówiłam mu: „Doc, nie mam już czternastu lat i nie jestem Lulamae”. A wiesz, co jest najgorsze? Zdałam sobie z tego sprawę, stojąc na tym dworcu: wcale się nie zmieniłam. Ciągle kradnę indyjskie jaja i uciekam ścieżką przez wrzosowisko. Tylko teraz mówię, że mam koszmarne doły.

Joe Bell z potępieniem wypisanym na twarzy postawił przed nami dwa kolejne martini.

- Nie wolno kochać dzikich stworzeń, panie Bell - poradziła mu Holly. - Doc popełnił ten błąd. Zawsze znosił do domu dzikie zwierzęta. Jastrzębia ze złamanym skrzydłem. Albo kiedyś nawet dorosłego rysia ze złamaną łapą. Ale nie można oddawać serca dzikim stworzeniom: im bardziej sięje kocha, tym silniejsze się stają. Mają siłę, żeby uciec do lasu. Albo polecieć na drzewo. Potem na wyższe drzewo. A wreszcie wlatują pod niebo. I tak właśnie to się kończy, panie Bell. Jeżeli pokocha pan dzikie stworzenie, już zawsze będzie się pan wpatrywał w niebo.

- Upiła się - poinformował mnie Joe Bell.

- Trochę tak - przyznała. - Ale Doc wiedział, o czym mówię. Wyjaśniłam mu to dokładnie i zrozumiał. Uścisnęliśmy sobie ręce, przytuliliśmy się i życzył mi powodzenia. - Zerknęła na zegar. - Teraz już dojeżdża do Blue Mountains.

- O czym ona mówi? - zapytał Joe Bell.

Holly uniosła kieliszek z martini.

- My też życzymy mu powodzenia - powiedziała, stukając w mój kieliszek. - Wszystkiego najlepszego, Doc i wierz mi, kochany, że lepiej jest patrzeć w niebo, niż w nim żyć. To strasznie puste miejsce, takie nieuchwytnie. Takie miejsce, gdzie uderza piorun i wszystko znika.

PIĄTY ŚLUB TRAWLERA. Jechałem właśnie metrem przez Brooklyn, kiedy ujrzałem ten nagłówek w gazecie czytanej przez jednego z pasażerów. Mogłem przeczytać tylko tyle: *Wczoraj w Greenwich Rutherford „Rusty” Trawler, milioner i playboy, często oskarżany o pronazistowskie sympatie, poślubił piękną...* Więcej i tak nie chciałem wiedzieć. A więc Holly jednak za niego wyszła. No cóż. Nagle zapragnąłem znaleźć się pod kołami pociągu. Inna sprawa, że pragnąłem tego zanim jeszcze zobaczyłem nagłówek. Powodów było wiele. Nie widziałem Holly od czasu tego niedzielnego pijaństwa w barze Joe Bella. Przez następne tygodnie sam miałem koszmarne doły. Po pierwsze, wyrzucili mnie z pracy. Zasłużenie, popełniłem bowiem zabawne wykroczenie, zbyt skomplikowane, żeby się nad nim tu rozwodzić. Ponadto, niestety, zaczęła się mną interesować komisja poborowa. Dopiero co wyrwałem się z okowów małego miasteczka, więc myśl o poddaniu się innej formie dyscypliny doprowadzała mnie do rozpacz. Z powodu nieuregulowanego stosunku do służby wojskowej i braku doświadczenia zawodowego nie mogłem znaleźć nowej posady. Dlatego właśnie znalazłem się w metrze na Brooklynie: wracałem z nieudanej rozmowy kwalifikacyjnej z redaktorem naczelnym jednej z popołudniówek, zresztą już nieistniejących. Cała ta sytuacja, a także panujący w mieście upał doprowadziły mnie na skraj nerwowego bezwładu. Dlatego mówiąc, że chciałem się rzucić pod koła pociągu, nie posłużyłem się wyłącznie figurą retoryczną. Nagłówek tylko utwierdził mnie w tym przekonaniu. Skoro Holly zdecydowała się poślubić ten „niepoczytalny plód”, to równie dobrze mogą mnie przywalić wszystkie nieszczęścia świata. Rzecz jasna, powstaje tu pytanie, czy przypadkiem nie popadłem w przygnębienie z powodu miłości do Holly. Trochę tak. Bo byłem w niej zakochany. W ten sam sposób, w jaki pokochałem kiedyś czarnoskórą, podstarzałą kucharkę mojej matki, listonosza, który pozwalał, żebym towarzyszył mu w obchodzie dzielnicy i całą rodzinę nazwiskiem McKendrick. To ten rodzaj uczucia, który nie jest wolny od zazdrości.

Na stacji kupiłem gazetę i doczytałem zdanie do końca, odkrywając, że Rusty poślubił *piękną modelkę rodem z górzystego Arkansas, pannę Margaret Thatcher Fitzhue Wildwood*. Mag! Poczułem taką ulgę, że nogi ugięły się pode mną i do domu wróciłem już taksówką.

W korytarzu spotkałem Madame Spanellę. Miała dziki błysk w oku i załamywała ręce.

- Szybko! Trzeba sprowadzić policję! - krzyczała. - Ona kogoś morduje! Albo ktoś morduje ją!

Na to wyglądało. Z mieszkania Holly dobiegały dźwięki, które mogłoby wydawać z siebie stado rozjuszonych tygrysów: brzęk tłuczonego szkła, huk przewracanych mebli i trzask rozdieranego materiału. Co najdziwniejsze, pośród hałasu nie słychać było żadnych odgłosów kłótni.

- Biegiem! - wrzasnęła Madame Spanella, popychając mnie w stronę wyjścia. - Trzeba wezwać policję!

Pobiegłem, ale na górę, do mieszkania Holly. Załomotałem w drzwi i hałas ucichł. Zupełnie umilkł. Nikt jednak nie odpowiadał na moje prośby o otwarcie drzwi, a próba ich wyważenia skończyła się stłuczeniem ramienia. Potem usłyszałem, jak Madame Spanella komenderuje kolejnym przybyszem, który każe jej się zamknąć i zejść z drogi.

Przybyszem był Jose YbarraJaegar. Nie wyglądał już jak elegancki brazylijski dyplomata. Był przerażony i cały zlany potem. Mnie także kazał usunąć się z przejścia i otworzył drzwi własnym kluczem.

- Proszę tędy, doktorze Goldman - powiedział, przywołując gestem towarzyszącego mu mężczyznę.

Nikt nie próbował mnie powstrzymać, więc wszedłem za nimi do mieszkania, które wyglądało jak po bitwie. Choinkę wreszcie rozebrano i to bardzo dosłownie: zeschnięte gałęzie wały się wśród podartych książek, potłuczonych lamp i płyt gramofonowych. Nawet lodówka została opróżniona, jej zawartość rozrzucono po pokoju, po ścianach spływały rozbite jajka, a pośrodku tego rumowiska siedział bezimienny kot Holly i spokojnie lizał kałużę mleka.

W sypialni wisiał zapach rozlanych perfum, tak mocny, że nie mogłem oddychać. Nadepnąłem na ciemne okulary; leżały na podłodze przełamane na pół, z rozbitymi szklami.

Może właśnie dlatego Holly, kompletnie zeszywniała na łóżku, patrzyła na Jose niewidzącym wzrokiem i zdawała się nie zauważać lekarza, który badał jej puls, powtarzając kojąco:

- Jest pani bardzo zmęczona, prawda? Bardzo zmęczona. I na pewno chce pani spać. Spać.

Potarła czoło, zostawiając na nim smużkę krwi z rozciętego palca.

- Spać - powtórzyła i zakwiliła jak zmęczone, marudzące dziecko. - Tylko on mi pozwalał. Pozwalał się przytulać, kiedy noc była zimna. Widziałam takie miejsce w Meksyku. Nadałoby się dla koni. Nad morzem.

- Konie nad morzem - mówił śpiewnie lekarz, sięgając do czarnej walizeczki po strzykawkę.

Na widok igły Jose odwrócił wzrok.

- Ta choroba to tylko smutek? - spytał, a w jego nieporadnej angielszczyźnie zabrzmiała mimowolna ironia. - Ona tylko jest smutna?

- Nie bolało, prawda? - zapytał lekarz, zręcznie muskając ramię Holly wacikiem.

Oprzytomniała na tyle, żeby na niego spojrzeć.

- Wszystko mnie boli. Gdzie moje okulary? - ale nie potrzebowała już okularów. Oczy same jej się zamykały.

- Ona tylko jest smutna? - powtórzył Jose z naciskiem.

- Proszę pana - odparł lekarz z wyraźnym zniecierpliwieniem. - Proszę mnie zostawić samego z pacjentką.

Jose wycofał się do salonu. Tam wyładował swój gniew na wścibskiej, wtykającej nos w nieswoje sprawy Madame Spanelli.

- Proszę mnie nie dotykać! Wezwę policję! - zagroziła, kiedy wypędził ją za drzwi za pomocą portugalskich przekleństw.

Przez moment zastanawiał się, czy nie wyrzucić także mnie, wywnioskowałem to z wyrazu jego twarzy. Ostatecznie zaproponował mi drinka. Jedyna nierozbita butelka, jaką udało się nam znaleźć, zawierała wytrawny wermut.

- Mam zmartwienie - wyznał mi w zaufaniu. - Mam zmartwienie, że to wywoła skandal. Ona wszystko potłukła. Prowadzi się jak wariatka. Ja nie mogę mieć publicznych skandali. To jest delikatna rzecz: moje nazwisko, moja praca.

Wyraźnie się odprężył, kiedy powiedziałem mu, że nie widzę żadnych przesłanek do powstania „skandalu”; niszczenie prywatnej własności przez właścicielkę to zapewne jej prywatna sprawa.

- To tylko smutek - stwierdził z przekonaniem. - Kiedy przyszedł smutek, najpierw rzuca drinka, którego pije. Potem butelkę. Książki. Lampę. Przestraszyłem się wtedy. Biegnę po doktora.

- Ale czemu? - zapytałem. - Czemu tak strasznie przejęła się Rustym? Moim

zdaniem powinna to raczej oblać.

- Rustym?

Wciąż trzymałem w dłoniach gazetę, więc pokazałem mu nagłówek.

- A, o to chodzi. - Uśmiechnął się nieco pogardliwie. - Oni zrobili nam wielką przysługę, Rusty i Mag. Śmiejemy się z tego, bo oni myślą, że nam łamią serca, a my cały czas chcemy, żeby uciekli. Wierz mi, śmialiśmy się, kiedy przyszedł ten smutek. - Przeszukał wzrokiem pobojowisko na podłodze i podniósł zmiętą kulę żółtego papieru. - To - powiedział.

Był to telegram z Tulip w Texasie: *Otrzymałem wiadomość Fred zabity w akcji za granicą stop mąż i dzieci łączą się z Tobą w żalu stop reszta w liście stop całuję Doc.*

Holly nigdy już nie wspominała o bracie, z jednym wyjątkiem. Poza tym przestała nazywać mnie Fredem. W czerwcu i lipcu, na ciepłe miesiące, pogrążyła się w hibernacji, niczym zwierzę, które nie zauważyło nadejścia i odejścia wiosny. Włosy jej ściemniały, przybrała na wadze. Przestała dbać o wygląd: zdarzało jej się wyjść do delikatesów w samym płaszczu przeciwdeszczowym. Jose wprowadził się do jej mieszkania i zajął miejsce Mag Wildwood na skrzynce pocztowej. Mimo to Holly większość czasu spędzała samotnie, ponieważ Jose przez trzy dni w tygodniu przebywał w Waszyngtonie. Podczas jego nieobecności nie przyjmowała nikogo i rzadko wychodziła, nie licząc czwartków, kiedy to odbywała cotygodniową wycieczkę do Sing Sing.

Nie znaczy to wcale, że straciła ochotę do życia. Wręcz przeciwnie, nigdy wcześniej nie widziałem jej tak szczęśliwej i zadowolonej. Przejawiała bardzo nietypowe dla siebie zainteresowanie domem i w efekcie poczyniła sporo, bardzo nietypowych dla siebie, zakupów: na aukcji u Parkera - Bemeta kupiła kilim przedstawiający sceny z polowania, a z majątku Williama Randolpha Hearsta - dwa ponure, gotyckie fotele. Kupiła też kompletną serię wydawniczą Modern Library, dziesiątki płyt z muzyką klasyczną, niezliczone reprodukcje antyków z Metropolitan Museum (w tym figurkę chińskiego kota, którą jej własny kot natychmiast znienawidził, ofukał i w końcu rozbił), mikser kuchenny Waringa, naczynie do gotowania na parze i masę książek kucharskich. Spędzała teraz całe popołudnia jak przykładowa pani domu, miotając się po maleńkiej kuchni.

- Jose twierdzi, że gotuję lepiej, niż zawodowy kucharz. Kto by przypuszczał, że mam do tego taki talent? Miesiąc temu nie potrafiłam nawet usmażyć jajecznicy.



Nadal zresztą nie potrafiła. Proste dania, takie jak stek, czy sałatka, były ponad jej możliwości. Karmiła natomiast Jose (a czasem także i mnie) zupą kolonialną (rosół z czarnego żółwia skropiony brandy i podany w wydrążonej połówce awokado), przysmakami w stylu uczt Trymalchiona (pieczony bażant nadziewany granatami i daktylami) oraz innymi dziwacznymi wynalazkami (kurczak z ryżem, przyprawiony szafranem i sosem czekoladowym: „To klasyka kuchni Indii Wschodnich, mój skarbie!”). Ze względu na wojnę i reglamentację cukru oraz śmietany trudno jej było rozwinąć skrzydła w dziedzinie deserów, jednakże wyprodukowała coś o nazwie tytoniowa tapioka; jednak lepiej będzie spuścić na to zasłonę milczenia.

Lepiej też nie opisywać wysiłków Holly w zakresie nauki portugalskiego. Była to istna męka, tak dla niej, jak i dla mnie, ponieważ podczas każdej mojej wizyty w tle rozbrzmiewało zawsze nagranie z płyty do nauki języka. Ponadto, rzadko zdarzało jej się nie rozpocząć zdania od słów: „Kiedy już się pobierzemy...” albo „Kiedy przeprowadzimy się do Rio...” A przecież Jose nie poprosił jej jeszcze o rękę. Przyznała się do tego.

- Ale wie, że jestem w ciąży. No bo jestem. Szósty tydzień. Nie rozumiem, czemu jesteś zaskoczony. Ja nie byłam, ani trochę. Jestem zachwycona. Chciałabym mieć przynajmniej dziewięcioro. Pewnie część z nich będzie raczej śniada - Jose jest trochę *le negre*, pewnie zauważyłeś. Bardzo mi to odpowiada. Wyobrażasz sobie, jaki śliczny będzie taki mały czarnuszek z jasnozielonymi oczyma? Żałuję trochę - tylko nie śmieć się ze mnie - że nie jestem już dziewicą, że nie poczekałam na Jose. Chociaż wcale nie zabawiałam się z tłumami facetów, jak mówią niektórzy; nie mam im za złe tych plotek, sama często lubię rzucić czymś pikantnym. Któregoś wieczora policzyłam sobie wszystkich i wyszło mi, że miałam tylko jedenastu, nie licząc tego, co było zanim skończyłam trzynaście lat, ale to się przecież nie liczy. Jedenastu. Czy to znaczy, że jestem dziwką? Popatrz na Mag Wildwood. Albo Honey Tucker. Albo Rose Ellen Ward. Jakby ogłosili zawody w trypra, to miałyby murowane miejsca na podium. Pewnie, że nie mam nic przeciwko dziwkom. Tyle tylko, że nawet jeżeli zdarza im się powiedzieć prawdę, to i tak jedna w drugą są zakłamate. No bo przecież nie można przespać się z facetem, wziąć za to kasę i nie próbować przynajmniej wmówić sobie, że coś się do niego czuje. Ja zawsze próbowałam. Nawet z Bennym Shacklettem i innymi szczurami. Powtarzałam sobie, że ten ich szcurzy charakter ma pewien pociągający wdzięk. A wiesz, że nie licząc Docca, bo jego chyba też trzeba uwzględnić, Jose to mój pierwszy facet, który nie jest szcurem? Oczywiście, nie jest też absolutnie

idealny. Zdarzają mu się małe kłamstewka, przejmuję się, co pomyślą inni i kąpie się z pięćdziesiąt razy dziennie, a przecież facet musi mieć własny zapach. Jak dla mnie jest trochę zbyt sztywny i zbyt ostrożny, zawsze odwraca się do mnie tyłem, kiedy się rozbiera, mlaszcze przy jedzeniu i wołałabym żeby nie biegał, bo kiedy biegnie, wygląda śmiesznie. Gdybym mogła wybrać kogo zechcę spośród wszystkich żyjących, pstryknąć palcami i zawołać „Chodź do mnie!”, nie wybrałabym Jose. Raczej Nehru. Albo Wendella Wilkie<sup>4</sup>. A może Gretę Garbo. Czemu nie? Każdy powinien mieć prawo poślubić mężczyznę albo kobietę, albo... posłuchaj, gdybyś przyszedł do mnie i powiedział, że chcesz się umówić z koniem wyścigowym, uszanowałabym to. Nie, nie żartuję. Każdy ma prawo do miłości. Jestem za tym całym sercem. Zwłaszcza, że teraz już dość dobrze wiem, co to jest miłość. Bo naprawdę kocham Jose - mogłabym nawet rzucić palenie, gdyby mnie o to poprosił. Jest serdeczny, potrafi mnie rozśmieszyć i wyrwać z dołów. W sumie nieczęsto mi się już teraz zdarzają, tylko raz na jakiś czas, ale nawet wtedy nie muszę łykać Seconalu ani wlec się do Tiffany'ego, wystarczy, że zaniosę jego garnitur do pralni albo zrobię nadziewane grzyby i czuję się świetnie, po prostu doskonale. Wyrzuciłam też wszystkie horoskopy. Wydałam chyba po dolarze na każdą cholerną gwiazdę w tym cholernym planetarium. To zabrzmiało strasznie drętwo, ale dobre rzeczy zdarzają ci się tylko jeśli sam jesteś dobry. Dobry? Może raczej uczciwy. Nie żeby zaraz przestrzegać prawa - dla rozrywki obrabowałabym grobowiec i ukradła monety z oczu nieboszczyka - chodzi o uczciwość wobec siebie. Rób co chcesz, bylebyś nie został tchórzem, kłamcą, emocjonalnym oszustem, dziwką; wołałabym mieć raka niż nieszczerze serce. To nie kwestia pobożności, tylko zdrowego rozsądku. Rak może cię wykończyć, nieszczerłość zrobi to na pewno. Do diabła z tym, skarbie, podaj mi gitarę, zaśpiewam ci *fadę* po portugalska, bez błędów.

Te ostatnie tygodnie na przełomie lata i kolejnej jesieni zamazały się nieco w mojej pamięci, być może dlatego, że osiągnęliśmy z Holly to cudowne porozumienie, kiedy dwoje ludzi porozumiewa się raczej bez słów niż przy ich pomocy. Konflikty, pełne napięcia rozmowy i gierki, nadające przyjaźni bardziej widowiskowy, powierzchownie dramatyczny charakter, ustąpiły miejsca serdecznemu milczeniu. Często, kiedy on wyjeżdżał (żywiłem teraz wobec niego wrogie uczucia i rzadko używałem jego imienia), całe wieczory spędzaliśmy razem, wypowiadając razem najwyżej sto słów. Któregoś dnia przeszliśmy się do Chinatown, zjedliśmy kurczaka z

---

<sup>4</sup> Wendell Wilkie (1892 - 1944) - polityk amerykański, republikanin, kontrkandydat Franklina Delano Roosevelta w wyborach prezydenckich w 1940 roku. Znany z pacyfistycznych przekonań i działań na rzecz pokoju.

kluskami w warzywach, kupiliśmy kilka papierowych lampionów i zwiniliśmy pudełko kadzidełek, a potem powędrowaliśmy Mostem Brooklyńskim. Staliśmy tam, obserwując statki wychodzące w morze pomiędzy klifami płonących w świetle zachodzącego słońca budynków. Wreszcie Holly powiedziała:

- Za wiele, wiele lat jeden z tych statków powróci tu ze mną na pokładzie. I z dziewiątką moich brazylijskich bachorków. Bo one na pewno muszą to zobaczyć: te światła i rzekę. Kocham Nowy Jork, chociaż nie jest mój, tak jak drzewo, ulica, dom czy inne miejsce, które może do mnie należeć, boja należą do niego.

- Zamknij się - powiedziałem nagle, wściekły, bo poczułem się opuszczony, jak holownik zacumowany w suchym doku, podczas gdy ona - lśniący żaglowiec - знаła miejsce przeznaczenia i właśnie odpływała z portu przy wtórze syren i w deszczu confetti.

I dlatego właśnie te ostatnie dni wirują w mojej pamięci jak jesienne liście. I tylko jeden dzień jest niepodobny do innych.

Zdarzyło się to akurat trzydziestego września, czyli w dniu moich urodzin, co nie ma właściwie żadnego znaczenia dla opisywanych wydarzeń, oprócz tego, że siedziałem w domu, niecierpliwie wypatrując listonosza w nadziei na jakąś formę finansowych wyrazów pamięci od rodziny. Ściślej mówiąc, zszedłem na parter i czekałem na niego w holu. Gdyby mnie tam wtedy nie było, Holly nie zaprosiłaby mnie na przejażdżkę i w efekcie nie miałyby okazji uratować mi życia.

- Chodź - powiedziała na mój widok. - Weźmiemy dwa konie na spacer po parku.

Miała na sobie wiatrówkę, dzinsy i tenisówki. Poklepała się po wciąż płaskim brzuchu.

- Tylko nie myśl sobie, że mam zamiar pozbyć się potomka. Widzisz, jest tam taki koń, moja ukochana Mabel Minerva... po prostu muszę się z nią pożegnać przed wyjazdem.

- Wyjazdem?

- W przyszłą sobotę. Jose kupił już bilety. - Jak w transie, podążyłem jej śladem na ulicę. - Mamy przesiadkę w Miami. A potem - za morze, nad Andami. Taksówka!

Nad Andami. Kiedy tak jechaliśmy taksówką przez Central Park, miałem wrażenie, że ja też lecę samotnie ponad ośnieżonymi szczytami i niebezpiecznym terytorium.

- Ale nie możesz wyjechać. Pomyśl tylko o... A co z... No przecież nie możesz

tak po prostu wyjechać i zostawić nas wszystkich.

- Nie sądzę, żeby ktoś za mną tęsknił. Nie mam przyjaciół.

- Ja będę. Będę tęsknił. I Joe Bell też. I... no, mnóstwo ludzi. Na przykład Sally.

Biedny pan Tomato.

- Uwielbiam tego staruszka - powiedziała z westchnieniem. - Wiesz, że nie odwiedzałam go przez cały miesiąc? Kiedy mu oświadczyłam, że wyjeżdżam, zachował się cudownie. Właściwie - zauważyła, marszcząc brwi - chyba się cieszył, że wyjeżdżam z kraju. Powiedział, że tak będzie najlepiej. Bo prędzej czy później moglibyśmy mieć problemy. Gdyby ktoś odkrył, że wcale nie jestem jego siostrzenicą. Ten gruby prawnik, pan O'Shaughnessy przesłał mi pięćset dolarów na wszelki wypadek. Taki prezent ślubny od Sally'ego.

Chciałem jej dogryźć.

- Ode mnie też dostaniesz prezent ślubny. Jeżeli ślub w ogóle się odbędzie.

Zaśmiała się.

- Ożeni się ze mną, spokojna głowa. W kościele. Przyjdzie cała jego rodzina.

Dlatego czekamy ze ślubem, aż będziemy w Rio.

- On wie, że już raz wyszłaś za mąż?

- O co ci chodzi? Chcesz mi zepsuć dzień? Jest taki piękny, nie niszczy go.

- Ale on może...

- Niczego nie może. Mówiłam ci, to było nielegalne. Nie mogło być. - Potarła nos i spojrzała na mnie z ukosa. - A jak komuś o tym wspomnisz, przysięgam, że obedrę cię ze skóry.

Stajnie - teraz na ich miejscu stoją chyba studia telewizyjne - znajdowały się przy Zachodniej Sześćdziesiątej Szóstej ulicy. Holly wybrała dla mnie starą, białoczną klacz.

- Nie martw się, jest bezpieczniejsza niż kołyska.

Była to dla mnie niezbędna gwarancja, ponieważ moje doświadczenie jeździeckie kończyło się na „przejażdżkach za dziesięć centów” podczas jarmarków w czasach dzieciństwa. Holly pomogła mi umościć się w siodle, potem dosiadła własnego wierzchowca, pięknej srebrzystej klaczy i ruszyła przodem między samochodami na Central Park West, prowadząc nas do ścieżki dla koni, upstrzonej kolorowymi liśćmi tańczącymi na wietrze, który zrywał je z drzew.

- Widzisz? - krzyknęła. - Jest cudownie!

I rzeczywiście było cudownie. Obserwując splątane barwy włosów Holly lśniące

w czerwono - złotym świetle, poczułem, że kocham ją na tyle, by pozbyć się egoizmu, zapomnieć o uzalaniu się nad sobą i depresji, że potrafię cieszyć się jej nadzieją na szczęście. Konie łagodnie przeszły do kłusa, podmuchy wiatru chłostały nas po twarzach, na przemian zanurzaliśmy się w słoneczny blask i cień.

I nagle, jak łyk azotu, przeszła mnie radość, że żyję. Chwilę później w moje życie wkroczyła farsa w ponurym przebraniu.

Niespodziewanie zza otaczających ścieżkę krzaków wyskoczyła grupka murzyńskich chłopców, na podobieństwo dzikich wojowników zarządzających zasadzkę w dżungli. Wykrzykując przekleństwa, zaczęli rzucać w nas kamieniami i okładać gałązkami konie po zadach.

Moja biało - czarna klacz stanęła na tylnych nogach, zarżała i zachwiała się jak akrobata na linie, po czym puściła się naprzód w dzikim pędzie, który wyrwał mi stopy ze strzemion i ledwo utrzymałem się w siodle. Kopyta klaczy krzeszały iskry na kamieniach. Niebo wirowało. Drzewa, jezioro, na którym mali chłopcy puszczały żaglówki, pomniki przesuwwały się w rytm kopyt. Przerazone niańki pośpiesznie odciągały dzieci z naszej drogi, mężczyźni, włóczędzy i inni krzyczeli: „Ściągnij lejce!” i „Prrrr! Prrrr!” i „Zeskakuj!” Wszystkie te głosy przypominałem sobie dopiero później, wtedy zauważałem tylko obecność Holly, słyszałem tętent kopyt jej konia. Nie doganiała mnie, ale jechała tuż za mną, nieustannie wykrzykując słowa otuchy. Pędziliśmy przez park, potem pod prąd zatłoczoną Piątą Aleją. Samochody, taksówki i autobusy wymijały nas z piskiem opon. Minęliśmy Instytut Sztuk Pięknych, Muzeum Fricka, hotele Pierre i Plaża. Stopniowo Holly zaczynała mnie doganiać, poza tym do pościgu dołączył policjant na koniu. Teraz oboje zrównali się ze mną, każde po jednej stronie, a ich wierzchowce wykonały manewr oskrzydający, dzięki czemu moja spieniona klacz zatrzymała się. Wtedy wreszcie stoczyłem się z jej grzbietu. Upadłem, podniosłem się i stałem tam, kompletnie zdezorientowany. Dokoła zbierał się tłum. Policjant, ciężko dysząc, zaczął zapisywać coś w notesie. Był teraz ucieleśnieniem współczucia, z szerokim uśmiechem zapewnił, że zajmie się naszymi końmi i odprowadzi je do stajni.

Holly przywołała taksówkę.

- Skarbie. Jak się czujesz? - zapytała, kiedy wsiedliśmy.

- Dobrze.

- Ale nie czuję pulsu! - powiedziała, chwytając mnie za nadgarstek.

- No to pewnie nie żyję.

- Nie, idioto. To poważna sprawa. Spójrz na mnie. Problem w tym, że jej nie widziałem, a raczej widziałem kilka Holly, trzy spocone twarze tak pobladłe ze strachu, że poczułem jednocześnie wzruszenie i zakłopotanie.

- Naprawdę.. Nic mi nie jest. Tylko strasznie mi głupio.

- Daj spokój. Na pewno dobrze się czujesz? Powiedz prawdę. Mogłeś się zabić.

- Ale się nie zabiłem. Dziękuję, że uratowałaś mi życie. Jesteś wspaniała. Wyjątkowa. Kocham cię.

- Ty cholerny głuptasie! - ucałowała mnie w policzek. Potem zobaczyłem cztery Holly i zemdlałem.

Tego wieczora zdjęcia Holly znalazły się na pierwszej stronie wieczornego wydania *Journal - American*, a następnego ranka trafiły do *Daily News* i *Daily Mirror*. Cały ten szum nie miał nic wspólnego z ucieczką mojego konia. Chodziło o coś zupełnie innego. Oto, co mówiły nagłówki: DZIEWCZYNA DO TOWARZYSTWA ARESZTOWANA W ZWIĄZKU ZE SKANDALEM NARKOTYKOWYM (*Journal - American*), AKTORKA ARESZTOWANA ZA SZMUGIEL NARKOTYKÓW (*Daily News*), SZAJKA HANDLARZY NARKOTYKAMI ROZBITA, AKTORKA W ARESZCIE (*Daily Mirror*).

Zdjęcie opublikowane przez *Daily News* robiło najsilniejsze wrażenie: Holly prowadzona na posterunek policji w eskorcie dwójki muskularnych detektywów, mężczyzny i kobiety.

W kompromitującym kontekście nagłówek nawet jej ubranie (czyli te same dzinsy i wiatrówka, w których jeździła konno) kojarzyło się z gangiem. Wrażenia tego nie osłabiały bynajmniej ciemne okulary, zmierzwione włosy i papieros zwisający z nadąsanych ust. Podpis pod zdjęciem głosił: *Dwudziestoletnia Holly Golightly, piękna aktorka i znana postać nowojorskich kręgów towarzyskich, jest oskarżona przez prokuratora generalnego o kluczowy udział w międzynarodowej aferze narkotykowej związanej z gangsterem Salvatore „Sally” Tomato, eskortowana na Posterunek przy 67 Ulicy przez det. Patricka Connora (po lewej) i det. Sheilah Fezzonetti (po prawej). Ciąg dalszy na str. 3.* Artykuł, ilustrowany zdjęciem mężczyzny podpisanego jako Oliver „Ojciec” O’Shaughnessy (i zasłaniającego twarz kapeluszem), liczył pełne trzy kolumny. Zamieszczam wybór najbardziej interesujących akapitów: *Kręgami towarzyskimi Nowego Jorku wstrząsnęła wczoraj wiadomość o aresztowaniu olśniewającej Holly Golightly, dwudziestoletniej aktoreczki i znanej bywalczyni salonów. W tym samym czasie,*

czyli około godziny 14 - tej, policja złapała Olivera O 'Shaughnessy (l. 52), rezydującego w Hotelu Seabord przy Zachodniej Czterdziestej Dziewiątej Ulicy. Aresztowania dokonano, kiedy pan O'Shaughnessy opuszczał bar szybkiej obsługi przy Madison Avenue. Prokurator generalny Frank L. Donovan utrzymuje, że oboje aresztowani byli ważnymi postaciami w szajce handlarzy narkotykami dowodzonej przez mafioso Salvatore „Sally” Tomato, aktualnie odsiadującego w Sing Sing pięcioletni wyrok za próbę przekupstwa polityka... O 'Shaughnessy, byty duchowny, znany w kręgach przestępczych jako „Ojciec” i „Padre”, był już aresztowany w 1934 roku, kiedy to odsiedział dwa lata za prowadzenie fałszywego domu opieki dla psychicznie chorych na Rhode Island. Pannę Golightly, nigdy wcześniej nienotowaną, aresztowano w jej luksusowym apartamencie, mieszczącym się w eleganckiej dzielnicy East Side... Biuro prokuratora generalnego nie wydało jeszcze oficjalnego oświadczenia w tej sprawie, jednak dobrze poinformowane źródła zapewniają, że piękna aktorka, jeszcze niedawno często widywana w towarzystwie multimilionera Rutherforda Trawlera, działała jako łącznik między uwięzionym Tomato i jego zastępcą, O'Shaughnessym... Podając się za krewną Salvatore Tomato, panna Golightly składała mu podobno cotygodniowe wizyty w Sing Sing, podczas których Tomato przekazywał jej ustnie zakodowane informacje, przekazywane przez nią następnie O 'Shaughnessy 'emu. Dzięki tym kontaktom Salvatore Tomato, urodzony w 1874 roku w Cefalu na Sycylii, mógł zachować kontrolę nad międzynarodowym syndykatem narkotykowym, z pośrednikami na Kubie i Sycylii oraz w Meksyku, Tangierze, Teheranie i Dakarze. Biuro prokuratora generalnego odmawia na razie udzielenia szczegółowych informacji na ten temat jak i potwierdzenia naszych doniesień. Natomiast panna Golightly, która nawet w sportowych spodniach i skórzanej kurtce pozostaje kruchą istotą o wielkich oczach, nie okazuje przesadnego niepokoju. „Nie pytajcie mnie, o co, do cholery, w tym wszystkim chodzi”, powiedziała reporterom, „Parcequeje ne saispas, mes chers (bo nie wiem, moi drodzy). Owszem, odwiedzałam Sally'ego Tomato. Jeździłam do niego co tydzień. I cóż w tym złego? On wierzy w Boga i ja też...”.

Następnie, pod nagłówkiem ARESZTOWANA PRZYZNAJE SIĘ DO NAŁOGU: Panna Golightly uśmiechnęła się, kiedy jeden z reporterów zapytał, czy ona sama zażywała kiedykolwiek narkotyki. „Spróbowałam kiedyś marihuany. Nie szkodzi ani w połowie tak jak brandy. No i jest tańsza. Niestety, wolę brandy. Nie, pan Tomato nigdy nie rozmawiał ze mną o narkotykach. Do furii doprowadzają mnie ci

*wszyscy podli ludzi, którzy go oskarżają. To wrażliwy, religijny człowiek. Uroczy starszy pan”.*

Powyższy artykuł zawierał przynajmniej jedną poważną nieścisłość: Holly nie została aresztowana w swoim „luksusowym apartamencie”, lecz w mojej własnej łazience. Wylegiwałem się w gorącej kąpieli z solami leczniczymi, które miały ulżyć bólowi nękającym moje ciało po przygodzie z koniem, podczas gdy Holly, niczym najlepsza pielęgniarka, siedziała na brzegu wanny czekając, by natrzeć mnie maścią i położyć do łóżka. Usłyszeliśmy pukanie do drzwi wejściowych. Nie były zamknięte na klucz, więc Holly krzyknęła „Proszę wejść!”. Zobaczyliśmy Madame Saphię Spanellę, a za nią dwoje policjantów w cywilu. Policjantka miała grube blond warkocze upięte wokół głowy.

- Tu jest! Tu jest poszukiwana! - ryknęła Madame Spanella, wpadając do łazienki i wskazując palcem najpierw na Holly a potem na moją własną, rozebraną osobę. - Patrzcie, jaka dziwka!

Policjant wyglądał na zakłopotanego całą sceną i zachowaniem Madame Spanelli, ale na twarzy jego towarzyszkę pojawił się wyraz złowieszczonego zadowolenia. Kobieta położyła rękę na ramieniu Holly i powiedziała zaskakująco dziecinnym głosem:

- Zbieraj się, siostrze. Pójdiesz z nami.

Na co moja przyjaciółka odpowiedziała jej chłodno:

- Trzymaj te grube łapska przy sobie, ty obrzydliwa, głupia, stara lesbo.

Rozjuszyło to policjantkę: uderzyła Holly tak cholernie mocno, że głowa odskoczyła jej na bok, a słoik z maścią wypadł z ręki i roztrzaskał się na kafelkach podłogi. Kiedy wyskakiwałem z wanny, by przyłączyć się do szarpaniny, wylądowałem na tych okrucieństwach szkła, odcinając sobie prawie oba wielkie palce u stóp. Nagi wybiegłem aż na korytarz, pozostawiając za sobą krwawe ślady stóp.

- Nie zapomnij - zdołała mi przekazać Holly, kiedy policjanci popychali ją w dół po schodach. - Nie zapomnij karmić kota. Proszę!

Oczywiście na początku obwiniałem Madame Spanellę. Wielokrotnie już składała skargi na Holly. Nie przyszło mi wtedy do głowy, że cała sprawa może mieć bardziej ponury wymiar. Dopiero wieczorem przyszedł Joe Bell wymachując gazetami. Był zbyt przejęty, by mówić z sensem. Miotał się po pokoju i uderzał pięścią o pięść, czekając aż skończy lekturę.

W końcu odezwał się:



- Myślisz pan, że to prawda? Że jest zamieszana w tę paskudną aferę?

- Raczej tak.

Wsadził tabletkę do ust i patrząc na mnie złowrogo pogryzł ją zupełnie tak, jakby gruchotał moje kości.

- Chłopie, toż to szczyt podłości! A chciałeś być jej przyjacielem. Co za sukinsyn!

- Chwila, chwila. Nie powiedziałem, że wiedziała, co robi. Oczywiście, że nie. Ale zrobiła to, co mówią. Przekazywała informacje i tak dalej...

- Nie przejmuj się pan tym za bardzo, co? - zauważył. - Jezu, przecież ona może dostać z dziesięć lat. - Wyrwał mi z ręki gazety. - Zna pan jej przyjaciół. Tych nadzianych. Proszę wpaść do mnie do baru, będziemy do nich dzwonić. Nasza dziewczynka potrzebuje prawnika nie od parady, nie stać mnie na takiego.

Byłem zbyt obolały i roztrzęsiony, żeby się ubrać. Joe Bell musiał mi pomóc. W barze usadził mnie koło telefonu z potrójnym martini i szklanką do brandy pełną monet. Nie miałem jednak pojęcia, do kogo zadzwonić. Jose był w Waszyngtonie i nie wiedziałem, jak się z nim skontaktować. Rusty Trawler? Tylko nie ten gnojek! Ale nie znałem żadnych innych przyjaciół Holly. Może miała rację, kiedy mówiła, że nie, nie ma żadnych.

Wykręciłem numer Crestview 5 - 6958 w Beverly Hills. Był to numer O. J. Bermana podany mi przez informację telefoniczną. Osoba, która odebrała, poinformowała mnie, że pan Berman ma teraz masaż i nie można mu przeszkadzać, przykro mi, proszę zadzwonić później. Joe Bell był oburzony. Jego zdaniem powinien był powiedzieć, że to sprawa życia i śmierci. Uparł się, żebym zadzwonił do Rusty'ego. Najpierw lokaj pana Trawlera powiadomił mnie, że państwo jedzą kolację i mogę zostawić im wiadomość. Wtedy Joe Bell wrzasnął do słuchawki: „Panie, to pilne. Sprawa życia i śmierci!”.

W efekcie odbyłem pogawędkę z - a raczej musiałem wysłuchać - byłej panny Wildwood:

- Czyś ty oszalał? - zapytała. - Mój mąż i ja pozwiemy do sądu każdego, kto spróbuje połączyć nasze nazwiska z tą od - od - odrażającą de - de - degeneratką. Zawsze wiedziałam, że jest s - s - stuknięta, a moralności ma tyle co suka z cieczką. Jej miejsce jest w więzieniu. Mój mąż całkowicie i absolutnie się ze mną zgadza. Bezwzględnie pozwiemy każdego, kto...

Odkładając słuchawkę, pomyślałem o Docu Golightly w dalekim Tulip, ale

szybko dałem sobie spokój. Holly nie chciałaby, żebym do niego dzwonił. Zabiłaby mnie na amen.

Zadzwoiłem więc ponownie do Kalifornii. Linia przez dłuższy czas była zajęta i kiedy w końcu udało mi się dotrzeć do O. J. Bermiana, wypilem już tyle martini, że to on musiał mi tłumaczyć, po co dzwonię.

- Chodzi o małą, tak? Wszystko wiem. Już rozmawiałem z Iggy Fittelsteinem. Iggy ma najlepszą gadkę w Nowym Jorku. Mówię mu, Iggy, zajmij się tą sprawą, przyślij rachunek, tylko nie mieszaj mnie w to wszystko. W końcu jestem jej coś winien. Właściwie to nic nie jestem jej winien, bo to wariatka i blagierka. Ale szczerza, rozumiesz? W każdym razie, wyznaczyli tylko dziesięć patyków kaucji. Nic się nie martw, jeszcze dziś Iggy ją stamtąd wyciągnie - nie zdziwiłbym się, gdyby już była w domu.

Jednak nie było jej w domu ani wieczorem, ani następnego ranka, kiedy zszedłem nakarmić kota. Nie miałem kluczy od jej mieszkania, więc skorzystałem ze schodów pożarowych i dostałem się do środka przez okno. Kot siedział w sypialni i nie był sam. Towarzyszył mu mężczyzna kucający nad otwartą walizką. Wymieniliśmy niepewne spojrzenia - każdy z nas przekonany, że ten drugi jest włamywaczem. Mężczyzna miał przyjemną twarz, lśniące brylantyną włosy i przypominał Jose. Co więcej, na wpół spakowana walizka zawierała ubrania, które Jose trzymał u Holly, jego garnitury i buty, otaczane przez nią staranną opieką, nieustannie zanoszone do pralni i do szewca. Domyśliwszy się, z kim mam do czynienia, zapytałem dla pewności:

- Przysłał pana pan Ybarra - Jaegar?

- Jestem kuzyn - odparł ledwo zrozumiałym akcentem, uśmiechając się nieśmiało.

- Gdzie jest Jose?

Powtórzył pytanie, jakby tłumaczył je sobie na inny język.

- Aaa, gdzie ona jest! Ona czeka - odparł i kompletnie mnie ignorując, wrócił do obowiązków kamerdynera.

A zatem dyplomata dawał drapaka. Zupełnie mnie to nie zdziwiło, a już na pewno nie zasmuciło. Jednakże wiedziałem, że ten numer złamie Holly serce.

- Powinno się go stłuc na kwaśne jabłko.

Kuzyn zachichotał, pewnie mnie zrozumiał. Zamknął walizkę i wręczył mi list.

- Mój kuzyn prosiła ja to dam jego kolega. Pan przekaże? Na kopercie

nagryzmołono: *Dla Panny Holly Golightly* -

*przez grzeczność.*

Usiadłem na jej łóżku i przytuliłem kota. Czulem się tak samo paskudnie, jak Holly czułaby się w tej sytuacji.

- Tak, przekażę.

I przekazałem, choć zupełnie nie miałem na to ochoty. Zabrakło mi jednak odwagi, by wręczyć jej ten list albo przynajmniej zatrzymać go w kieszeni, gdy Holly zapytała niezwykle ostrożnie, czy nie mam przypadkiem wiadomości od Jose. Stało się to dwa dni później. Siedziałem przy niej w szpitalnym pokoju śmierdzącym jodyną i basenami dla chorych. Przebywała tam od czasu aresztowania.

- No cóż, skarbie - powiedziała mi na powitanie, kiedy podszedłem do niej z kartonem papierosów „Picayune” i bukietem jesiennych fiołków. - Straciłam dziedzica.

Wyglądała, jakby nie miała nawet dwunastu lat - z zaczesanymi do tyłu waniliowymi włosami i oczyma (wreszcie bez okularów) przejrzystymi jak woda. Nie mogłem uwierzyć, jak zły był jej stan.

A był poważny.

- Chryste, o mało się nie przekręciłam. Serio, ta gruba baba prawie mnie dopadła. Już się szykowałam. Chyba nigdy ci nie opowiadałam o grubej babie. Sama o niej nie wiedziałam, dopóki nie zginął Fred. Zaczęłam się wtedy zastanawiać, dokąd odszedł i co to właściwie znaczy, że umarł. I nagle ją zobaczyłam, w tym samym pokoju. Ta gruba wredna suka trzymała Freda w ramionach, kołysała się z nim na fotelu bujanym i rechotała jak orkiestra dęta. Co za kpina! Ale to nas właśnie czeka, przyjacielu, ta gruba komediantka tylko czyha, żeby się z nami zabawić. Teraz już chyba rozumiesz, czemu dostałam szału i wszystko potłukłam?

Tylko prawnik wynajęty przez O. J. Bermana i ja mogliśmy ją odwiedzać. Dzielili pokój z innymi pacjentkami, podobnymi do siebie jak trzy krople wody. Panie przyjrzały mi się z ogromnym zainteresowaniem, choć bez niechęci i wymieniły podejrzenia szepcząc po włosku.

- Myślą, że to przez ciebie, skarbie - wyjaśniła Holly. - Że to ty mnie skrzywdziłeś.

Na sugestię, żeby wyjaśniła im całą sytuację, odparła:

- Nie dam rady. One nie znają angielskiego. A poza tym ani myślę psuć im zabawy.

I właśnie wtedy zapytała o Jose.

Gdy tylko zobaczyła list, zmrużyła oczy i wykrzywiła usta w lekkim, cynicznym uśmiešku, który natychmiast dodał jej ładnych parę lat.

- Skarbie - poprosiła - sięgnij do tej szuflady i podaj mi torebkę. Dziewczyna nie czyta takich listów nieumalowana.

Przeglądając się w podręcznym lusterku, upudrowała i umalowała każdy kawałek twarzy, pozbawiając się na dobre wyglądu dwunastolatki. Poprawiła kształt ust, używając jakiejś kredki, pokolorowała policzki przy pomocy innej. Narysowała kreskę wokół oczu, nałożyła niebieski cień na powieki, skropiła szyję perfumami 4711, włożyła perłowe klipsy i nasunęła ciemne okulary. Tak uzbrojona, wyraziła ubolewanie nad nędznym stanem swoich paznokci, po czym rozerwała kopertę i przejrzała list. Zacięty uśmiešek kurczył się i twardniał. Na koniec poprosiła o papierosa i zaciągnęła się głęboko.

- Straszne świństwo. Ale teraz smakuje jak diabli - oświadczyła, rzucając list w moją stronę. - Może ci się, przydać, jeśli kiedykolwiek będziesz pisał szmirowate romansidło. Nie krępuj się, czytaj na głos. Sama chcę to usłyszeć.

List zaczynał się od słów:

*Moja najdroższa*

Holly przerwała mi już w tym momencie. Chciała wiedzieć, co sędzę o charakterze pisma. Trudno było cokolwiek powiedzieć: było zwarte, bardzo czytelne i niczym szczególnym się nie wyróżniało.

- To cały on. Spięty bubek z zatwardzeniem. Czytaj dalej. *Moja najdroższa, pokochałem Cię, wiedząc, że jesteś inna od wszystkich. Wyobraź sobie moje cierpienie, gdy w tak brutalnych publicznych okolicznościach odkryłem, jak bardzo różnisz się od ideału kobiety, którą mężczyzna z moimi przekonaniem i perspektywami wybrałby sobie na żonę. Szczerze ubolewam nad Twoim obecnym nieszczęsnym położeniem i nie mam serca, by potępić Cię, jak czynią to inni. Liczę, że i Ty mnie nie potępisz. Muszę chronić rodzinę i nazwisko, w tej kwestii jestem tchórzem. Wybacz mi, moja śliczna. Nie ma mnie już. Wyjechałem. Niech Bóg czuwa nad Tobą i Twoim dzieckiem. Niech Bóg potraktuje Cię lepiej niż ja - Jose.*

- I co?

- Całkiem szczerze słowa. Nawet trochę łapią za serce.

- Łapią za serce? Te rzewne brednie?

- W końcu przyznał się, że jest tchórzem i na pewno rozumiesz, że z jego

punktu...

Holly nie chciała jednak niczego rozumieć, choć jej twarz, nawet pod warstwami makijażu, zdradzała, że rozumie.

- W porządku, może nie jest szcurem bez powodu. Takim gigantycznym szcuczyskiem jak Rusty. Albo Benny Shacklett. Ale niech to szlag - wyznała nagle, wkładając zaciśniętą piastkę do ust, jak zrozpaczone dziecko - ja go naprawdę kochałam. Szczur jeden.

Włoskie trio, przekonane, że ma do czynienia z kłótnią kochanków, wyraziło swoją dezaprobatę sycząc i cmokając w słusznym, jak im się wydawało, czyli moim, kierunku. Potraktowałam to jako komplement. Byłam dumny, że ktokolwiek mógł sądzić, iż Holly na mnie zależy. Uspokoila się, kiedy poczęstowałam ją kolejnym papierosem. Przełknęła ślinę i powiedziała:

- Bóg zapiać, złotko. I chwała ci za to, że jesteś takim marnym jeźdźcem. Gdybym nie musiała odgrywać kowboja, pewnie teraz czekałabym w kolejce do domu dla samotnych matek. To wszystko przez wysiłek fizyczny. Ale wystraszyłam tych gliniarzy jak jasna cholera, bo powiedziałam, że to wina Panny Lesby, co mnie uderzyła. Tak, proszę pana, mogę ich zaskarżyć o parę rzeczy, w tym o bezprawne aresztowanie.

Do tego momentu unikaliśmy tematu jej poważniejszych problemów, a ta żartobliwa wzmianka wydała mi się zarazem przerażająca i żalosna, wskazywała bowiem na kompletną niezdolność Holly do stawienia czoła ponurej rzeczywistości.

- Posłuchaj, Holly - powiedziałem, powtarzając sobie: Bądź silny i dojrzały, zachowuj się jak wujek. - Słuchaj, to nie są żarty. Musimy zaplanować, co robić dalej.

- Za młody jesteś, żeby przynudzać. I za mały. A tak w ogóle, co ci do tego?

- Nic. Tylko, że jestem twoim przyjacielem i martwię się o ciebie. Chciałbym wiedzieć, co masz zamiar zrobić.

Potarła nos i wbiła wzrok w sufit.

- Dzisiaj jest środa, prawda? No to myślę, że do soboty sobie pośpię, przyda mi się trochę dobrego *schluffen*. W sobotę rano skoczę do banku. Potem do mieszkania po koszulę nocną albo dwie i jeszcze suknię wieczorową od Mainbochera. A potem zgłoszę się na lotnisko Idlewild. Jak wiesz, mam tam pierwszorzędną rezerwację na pierwszorzędny samolot. Skoro taki z ciebie przyjaciel, możesz mnie odprowadzić i pomachać chusteczką. *Proszę*, przestań wreszcie potrząsać głową.

- Holly, Holly. Nie możesz tego zrobić.

- *Et pourquoi pas*. Nie mam zamiaru uganiać się za Jose, jeśli o to ci chodzi. Dla mnie ten pan już nie istnieje. Nie widzę jednak powodu, żeby marnować taki bilet. I to już opłacony. A ja nigdy jeszcze nie byłam w Brazylii.

- Słuchaj, jakimi prochami cię tu karmią, co? Nie rozumiesz, że jesteś oskarżona o udział w przestępstwie? Jeśli złamiesz warunki zwolnienia za kaucją, to wsadzą cię do pudła i wyrzucą klucz. A nawet jeśli uda ci się uciec, nie będziesz mogła tu nigdy wrócić.

- Wielkie rzeczy. Dom jest tam, gdzie czujesz się jak w domu. Ja jeszcze szukam takiego miejsca.

- Nie, Holly, to głupi pomysł. Przecież jesteś niewinna. Musisz to tylko udowodnić.

- Trele morele - odparła i dmuchnęła mi dymem w twarz. Zrobiłem jednak na niej wrażenie: oczy rozwarły się jej szeroko na myśl o przerażających celach, mrocznych korytarzach i zatraskujących się powoli drzwiach. Ja też o tym myślałem.

- A do diabła z tym! - stwierdziła, gasząc papierosa. - Jest szansa, że mnie nie złapią. O ile będziesz trzymał *bouchefermee*. Słuchaj. Nie potępiaj mnie, skarbie. - Chwyciła mnie za rękę i ścisnęła ją w gwałtownym przypływie szczerości. - Nie mam wielkiego wyboru. Rozmawiałam już o tym z prawnikiem; no, oczywiście nie powiedziałam mu nic o Rio, bo sam by mnie zakapował glinom, żeby tylko dostać swoją dolę, a przede wszystkim nie stracić tych paru centów, które O. J. wyłożył na kaucję. Pomógł mi, to prawda, ale przecież raz na wybrzeżu wygrał dzięki mnie ponad dziesięć patyków w pokera, więc jesteśmy kwita. Sęk w tym, że gliny liczą na obmacywanki za friko i chcą mnie zmusić do zeznań przeciwko Sally'emu. Nie mają zamiaru mnie oskarżać, nie mają przecież cienia dowodu. Widzisz, może i jestem zepsuta do szpiku kości, ale nie pograżę przyjaciela, o ile nie udowodnią, że sprzedawał narkotyki świętej Cecylii. Traktuję ludzi tak, jak oni mnie traktują, a Sally... zgoda, może nie był zupełnie uczciwy, właściwie trochę mnie wykorzystał, ale i tak jest w porządku i prędzej poddam się tej grubej babie, niż pozwolę, żeby prokurator załatwił go na amen. - Przechyliła lusterko tak, by odbijało jej twarz i oświadczyła, rozsmarowując szminkę zgiętym palcem. - Zresztą nie tylko o to chodzi. Pewne odcienie reflektorów fatalnie robią dziewczynie na cerę. Nawet gdyby przysięgli przyznali mi Krzyż Zasługi, nie mam tu już żadnych perspektyw: zła opinia wlokłaby się za mną od La Rue do Perona's Bar & Grill. Wierz mi, byłabym równie mile widziana, co przedsiębiorca pogrzebowy. Gdybyś utrzymywał się z moich wyjątkowych talentów, złotko,

wiedziałbyś jakie bankructwo mam na myśli. O nie, nie ma mowy, żebym szlajała się po spelunach z hołotą, kiedy tutaj wielmożna Madame Trawler obnosi swój tyłek po całym Tiffanym. Szlag by mnie trafił. To już w ciemno biorę tę grubą babę.

Do pokoju weszła bezszelestnie pielęgniarka i zwróciła nam uwagę, że godziny odwiedzin dawno minęły. Holly zaczęła narzekać, ale zamknęto jej usta przy pomocy termometru. Gdy byłem już w drzwiach, zdołała poprosić:

- Zrób mi przysługę, skarbie. Zadzwoń do *Timesa*, czy gdzie chcesz i załatw mi listę pięćdziesięciu najbogatszych mężczyzn w Brazylii. Nie żartuję. Pięćdziesięciu najbogatszych; rasa i kolor skóry nie mają znaczenia. I jeszcze jedno - skocz do mojego mieszkania i poszukaj medalika ze świętym Krzysztofem. Przyda mi się na drogę.

W piątek wieczorem niebo miało czerwoną barwę, w nocy grzmiało, a w sobotę, dzień wyjazdu, nad miastem przeszła prawdziwa ulewa. W powietrzu mogłyby pływać rekiny, nieprawdopodobne natomiast wydawało się, by zdołał się w nim unieść samolot.

Jednak Holly, nie zwracając uwagi na moje optymistyczne przekonanie, że lot zostanie odwołany, kontynuowała przygotowania do podróży. Nawiasem mówiąc, większość związanego z nimi ciężaru spadła na moje barki. Holly uznała, że nie powinna pokazywać się w pobliżu naszej kamienicy. Miała całkowitą rację: kamienica była obserwowana przez policję albo reporterów, albo jeszcze innych zainteresowanych; w każdym razie ktoś ciągle laził wokół domu. Zatem prosto ze szpitala udała się do banku, a potem do baru Joe Bella.

- Mówi, że nikt jej nie śledził - poinformował mnie Joe, przychodząc z poleceniami od Holly. Chciała, żebym spotkał się z nią jak najszybciej w barze, maksymalnie za pół godziny i żebym przyniósł: biżuterię, gitarę, szczoteczkę do zębów i inne drobiazgi. I jeszcze butelkę stuletniej brandy: mówi, że trzyma ją na dnie kosza z brudną bielizną. Aha, jeszcze kota. Chce kota. Ale wiesz pan, psiakrew - dodał - wcale nie jestem pewny, czy powinniśmy jej pomagać. Trzeba ją chronić przed nią samą. Ja bym chętnie powiedział glinom. Może jak tam wrócę i postawię jej parę drinków, to się urznie i da sobie spokój.

Miotalem się w kółko po schodach pożarowych między naszymi mieszkaniami, przemarzłem, przemokłem i zmęczyłem się potwornie (a do tego jeszcze zostałem boleśnie podrapany, ponieważ kotu nie przypadł do gustu pomysł ewakuacji, szczególnie w tak niesprzyjających warunkach pogodowych), aż wreszcie udało mi się

sprawnie i bezbłędnie wykonać powierzone zadanie. Znalazłem nawet medalik ze świętym Krzysztofem. Teraz wszystko leżało na podłodze w moim pokoju - przygnębiająca sterta biustonoszy, pantofelków i innych uroczych drobiazgów, które wcisnąłem do jedynej walizki Holly. Nie zmieściła się tam cała masa rzeczy, które musiałem zapakować do papierowych toreb na zakupy. Przez dłuższy czas nie wiedziałem, co zrobić z kotem, wreszcie postanowiłem zawinąć go w poszewkę.

Mniejsza z tym, dlaczego, ale kiedyś przemierzyłem pieszo drogę z Nowego Orleanu do Nancy's Landing w Mississipi, prawie pięćset kilometrów. W porównaniu z wyprawą do baru Joe Bella, był to przyjemny spacer. Gitara napełniła się wodą, papierowe torby rozmokły na deszczu i pękły, perfumy chlusnęły na chodnik, a perły wylądowały w rynsztoku. Tymczasem wiatr wiał, kot drapał i miauczał przeraźliwie, a co najgorsze, dopadł mnie strach. Poczulem, że jestem tchórzem, jak Jose. Skąpane w deszczu ulice zdawały się roić od przyczajonych agentów, czyhających by mnie zgarnąć za pomaganie przestępcy.

Przestępca powiedział:

- Spóźniłeś się, współniku. Przyniosłeś brandy?

Kot, uwolniony z poszewki, wskoczył jej na ramię i usadowił się tam wygodnie, wymachując ogonem jak dyrygent batutą. Holly także nuciła jakieś skoczne pożegnalne umpapa. Otwierając butelkę oświadczyła:

- To miała być część mojego posagu. Wymyśliłam sobie, że co roku z okazji rocznicy napijemy się po kieliszku. Chwała Bogu, że jednak odpuściłam sobie posag. Panie Bell, proszę trzy szklanki.

- Wystarczą dwie - mruknął. - Nie będę pił za twoją głupotę.

Im bardziej się przymilała („Ależ mój kochany, nie żegna się damy codziennie. Proszę wypić moje zdrowie!”), tym bardziej zrzędził: „Mnie do tego nie mieszaj. Chcesz iść do diabła, idź sobie sama. Ja ci nie będę pomagał”. Co nie do końca było prawdą. Albowiem chwilę później przed bar zajechała limuzyna z szoferem. Holly zauważyła ją pierwsza; odstawiła kieliszek i uniosła brwi, jakby spodziewała się ujrzeć prokuratora generalnego we własnej osobie. Ja zresztą też. A kiedy ujrzałem, że Joe Bell się rumieni, pomyślałem: więc jednak zawiadomił policję! Ale on, czerwony jak burak, wyjaśnił:

- To nic takiego. Tylko limuzyna od Carey'a. Wynająłem ją. Żeby cię zawiozła na lotnisko.

Odwrócił się do nas tyłem i zajął się jedną ze swoich kompozycji kwiatowych.



Holly powiedziała do niego:

- Panie Bell, mój kochany. Proszę na mnie spojrzeć.

Nie spojrział. Wyrwał kwiaty z wazonu i cisnął w jej stronę. Rozsypały się po podłodze, chybiając celu.

- Do widzenia - powiedział i rzucił się w kierunku męskiej toalety, jak gdyby nagle poczuł mdłości. Usłyszeliśmy trzask zamykanych drzwi.

Szofer od Carey'a był typem światowca i bez zmrużenia oka przyjął nasz niedbale spakowany bagaż. Zachował też kamienną twarz, kiedy w drodze przez potoki deszczu Holly zdjęła ubrania (strój do jazdy konnej, którego dotąd nie miała czasu zmienić) i przebrała się w elegancką czarną obcisłą sukienkę. Nie rozmawialiśmy: rozmowa doprowadziłaby tylko do kłótni, a poza tym Holly była zbyt zajęta, by rozmawiać. Nuciała pod nosem, pociągała brandy z butelki, przechylała się nieustannie chcąc spojrzeć przez okno, jakby szukała konkretnego adresu albo, jak mi się wydawało, aby utrwalić w pamięci ostatnie wspomnienie. Nie takie były jednak jej intencje. Chodziło o coś innego.

- Proszę się tu zatrzymać - poleciła kierowcy i zatrzymaliśmy się przy krawężniku na jakiejś ulicy w hiszpańskim Harlemie. Była to dzika, jarmarczna, przygnębiająca okolica, bogato przyozdobiona wielkimi plakatami gwiazd filmowych i Matki Boskiej. Silny wiatr roznosił po ulicy resztki jedzenia i przegniłe gazety, piętrzące się na chodniku. Deszcz już ustał, a niebo powoli się przejaśniało.

Holly wysiadła z samochodu. Wzięła z sobą kota. Przytuliła go mocno, podrapała po łebku i zapytała:

- I jak ci się podoba? To chyba dobre miejsce dla takiego twardziela jak ty. Kubły na śmieci. Mnóstwo szczurów. Stada dzikich kotów do towarzystwa. No to spadaj - z tymi słowami postawiła go na ziemi. Nie ruszył się z miejsca, podniósł tylko swój chuligański pyszczek i spojrział na nią pytająco żółtymi ślepiami pirata. - Powiedziałam, wynocha! - Kot otarł się o jej nogę. - Spieprzaj! - krzyknęła, po czym wskoczyła z powrotem do auta, zatrasnęła drzwi i rzuciła w stronę kierowcy - Jedziemy. Jedziemy. Jedziemy!

Byłem w szoku.

- Wiesz co? Faktycznie, suka z ciebie. Zareagowała dopiero po dłuższej chwili.

- Mówiłam ci przecież. Wpadliśmy kiedyś na siebie nad rzeką, to wszystko. Oboje jesteśmy niezależni. Nigdy sobie niczego nie obiecywaliśmy. Nigdy nie... - tu jej głos się załamał, a pobladła nagle twarz przeszył bolesny skurcz. Samochód stanął na

światłach. Otworzyła drzwi i zawróciła biegiem. Biegłem tuż za nią.

Jednakże kota nie było już na rogu, gdzie go zostawiliśmy. Na całej ulicy nie było nikogo oprócz sikającego pijaka i dwóch czarnoskórych zakonnic prowadzących stadko śpiewających dzieci. Na ulicę wychodziło coraz więcej dzieci, a z okien wychylały się kobiety, obserwując, jak Holly miota się tam i z powrotem, krzycząc; „Kocie! Hej, kocie! Gdzie jesteś? Wracaj, kocie!” Krzyczała i krzyczała, aż wreszcie podszedł do niej pryszczaty chłopak trzymający za kark starego kocura.

- Chce panienka ładnego kotka? Sprzedam za dolca.

Limuzyna zawróciła naszym śladem. Holly pozwoliła, żebym ją do niej zaprowadził. Zawahała się przy wsiadaniu, spojrzała ponad moim ramieniem, gdzieś za wyrostka, który wciąż oferował jej kota („Pół dolara, panienko. Cwiartkę. Naprawdę niedużo.”) i wstrząsnęła nią dreszcz. Chwyciła mnie za ramię, żeby ustać na nogach.

- O Jezu słodki. Należeliśmy do siebie. Był mój. Obiecałem jej, że wrócę tu i odnajdę kota.

- I dobrze się nim zajmę, słowo.

Uśmiechnęła się, nowym smutnym i bladym uśmiechem.

- A co ze mną? - zapytała szeptem i znów zadrżała. - Strasznie się boję, skarbie. Wreszcie mnie to dopadło. Bo teraz wiem, że tak już może zostać i nigdy nie będę wiedziała, że coś jest moje, dopóki tego nie wyrzucę. Doły to nic. Gruba baba też mnie nie rusza. Ale tego się boję. Mam strasznie sucho w ustach, nie mogłabym splunąć, nawet gdyby chodziło o moje życie. - Wsiadła do samochodu i osunęła się na siedzenie. - Przepraszam, panie kierowco. Jedziemy.

DZIEWCZYNA TOMATO ZNIKA. Oraz: AKTORKA ZAMIESZANA W AFERĘ NARKOTYKOWĄ OFIARĄ GANGU? Potem w prasie pojawiły się jednak kolejne nagłówki: ZBIEGŁA AKTORKA UKRYWA SIĘ W RIO. Najwyraźniej władze amerykańskie nie miały najmniejszego zamiaru ścigać Holly i wkrótce cała historia pojawiała się już tylko sporadycznie w plotkarskich czasopismach. Poważne gazety zajęły się nią jeszcze jeden, jedyny raz w Boże Narodzenie, kiedy Sally Tomato zmarł na zawał w Sing Sing. Mijały miesiące, minęła cała zima, a ja wciąż nie miałem wieści od Holly. Właściciel kamienicy sprzedał jej porzucone rzeczy: łóżko pokryte białym atłasem, kilim, cenne gotyckie fotele. Mieszkanie zajął nowy lokator, nazywał się Quaintance Smith i przyjmował tylu hałaśliwych gości płci męskiej co Holly. Jednakże w jego przypadku Madame Spanella nie protestowała, wręcz przeciwnie, dbała o

niego jak matka i wielokrotnie dostarczała krwisty befsztyk jako lekarstwo na podbite oko. Wreszcie wiosną przysła pocztówka, nagryzmołona ołówkiem, z odciskiem umalowanych ust zamiast podpisu: *Brazylia koszmarna, ale Buenos Aires cudowne. Nie jak Tiffany, ale blisko. Mam u boku oobłędnego Seniora. Miłość? Chyba tak. W każdym razie, szukam jakiegoś lokum (Senior ma żonę i siódmką dzieci). Dostaniesz adres, jak tylko sama go poznam. Mille tendresses.* Ale adres, jeśli go nawet miała, nigdy do mnie nie dotarł. Zasmuciło mnie to, ponieważ chciałem jej napisać o tylu rzeczach: że sprzedałem dwa opowiadania, wyczytałem, że oboje państwo Trawlerowie złożyli pozwy rozwodowe, że wyprowadziłem się z kamienicy, bo jest nawiedzona. Przede wszystkim jednak chciałem powiedzieć jej o kocie. Dotrzymałem słowa i znalazłem go. Zajęło mi to dwa tygodnie tułaczki po ulicach hiszpańskiego Harlemu i wiele razy przeżyłem fałszywy alarm: widziałem błysk cętkowanego rudego futra, ale to nie był on. W końcu któregoś zimnego słonecznego, niedzielnego popołudnia, zobaczyłem go. Siedział na parapecie okna przytulnego pokoju, otoczony doniczkami i czystą koronkową firanką. Zastanawiałem się, jakie nadano mu imię, bo teraz na pewno jakieś miał, teraz na pewno znalazł miejsce dla siebie.

W afrykańskiej chacie, czy gdzieś indziej, mam nadzieję, że Holly też znalazła takie miejsce.